MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XII. Nr. 47. WARSZAWA, 30 PAŹDZIERNIKA 1932 R. CENA NUMERU 80 GR.

CZY TRAKTAT O MNIEJSZOŚCIACH OBOWIĄZUJE?

MOC OBOWIĄZUJĄCA traktatów mniejszościowych, zawartych po wojnie światowej, przez Główne Mocarstwa Sprzymierzone i Stowarzyszone została specjalnie umocniona i obwarowana postanowieniami, uznającemi niektóre części tych traktatów za prawa zasadnicze państw zobowiązanych. Art. 1 traktatu z Polską wyraźnie stwierdza, że postanowienia art. od 1 — 8 Polska uznaje za część integralną swych praw zasadniczych i że żadna działalność urzędowa przeciwko tym postanowieniom nie będzie miała mocy. Analogiczne postanowienia znajdujemy w innych traktatach mniejszościowych, na wzór traktatu z Polską.

Powyższe postanowienie atakowano słusznie w literaturze, jako godzące w pewnej mierze w suwerenność państwa, a w każdym razie w jego *prestige* międzynarodowy. Ponieważ jednak jest niewątpliwem, iż nie można z postanowień traktatu mniejszościowego wysnuć wniosków, któreby godziły w niekwestjonowaną nigdy i pełną suwerenność państwową, możliwe jest przyjęcie tylko takiej interpretacji, która z tą suwerennością dałaby się pogodzić. Niewątpliwie każdy traktat międzynarodowy zawarty jest w tym celu, aby postanowienia jego zostały wykonane. W przeważnej części postanowienia traktatowe, dla przeprowadzenia ich w sferze stosunków wewnętrzno-prawnych, wymagają działalności władzy państwowej, przetwarzającej owe postanowienia międzynarodowe na ustawy, czy rozporządzenia, mające skutek bezpośrednio w stosunku do obywateli. Takie przeprowadzenie norm traktatowych w sferę ustawodawstwa wewnętrzno-państwowego, nie gasi tem samem samych zobowiązań traktatowych. Skoro jednak odnośny traktat wydanie norm wewnętrzno-państwowych wyraźnie przewiduje, może się nasunąć przypuszczenie, że wydanie tych właśnie norm wyczerpuje odnośne klauzule traktatowe, innemi słowy, że żadne inne dalsze uprawnienia sygnatarjuszom traktatu już nie służą (i że w tym kierunku winny być interpretowane dalsze postanowienia traktatu zwłaszcza artykułu 12-go).

Wiadomo, iż normy traktatowe dzielą się między innemi na takie, które przez dorazowe wykonanie gasną i inne, których celem jest trwałe regulowanie stosunków prawnych i faktycznych (np. klauzule traktatów handlowych).

Do norm traktatowych, które przez wykonanie gasną, należą postanowienia dotyczące zmian terytorjalnych i określające nowe granice państwa.

Z chwilą wykonania odnośnych postanowień, prawo państwa do wykonywania władzy na danem terytorjum nie opiera się już więcej o sam traktat, a jedynie o normy zwyczajowe prawa narodów, względnie o prawa zasadnicze, jeśli konstrukcję tych praw przyjmujemy w prawie narodów. Wszak

granica państwowa określona między dwoma państwami traktatem, zawartym przez te państwa, jest uznawana przez państwa inne, nie z tytułu traktatu, który jest aktem prawnym i rzeczą „*inter alios gesta*", lecz z tytułu uznania istniejącego międzynarodowego porządku prawnego, opartego o wzajemne prawne uznanie państw między sobą, jako członków społeczności międzynarodowej.

Dlatego też zupełnie niesłusznie pod wpływem rewizjonistycznej propagandy Niemiec zaczęło się ustalać przekonanie, że granice nasze oparte są o system traktatów pokojowych i w razie rewizji tego systemu granice te mogłyby ulegać jakiemukolwiek zaczepieniu. Sprawa granic w niczem nie jest związana z dalszą mocą obowiązującą czy zmianą traktatów pokojowych. Tem bardziej obojętną jest rzeczą, w kwestji nienaruszalności obecnego *status quo* terytorjalnego, zmiana lub upadek traktatów nie będących traktatami pokojowemi, a zawartych jedynie w okresie konferencji pokojowej w Paryżu.

Jak w poprzednich artykułach zaznaczono, traktaty mniejszościowe mają charakter przejściowy, sprzeczny z ideą wewnętrznej organizacji państwa i zasadami, na których opiera się współczesny między-narodowy porządek prawny.

Jako takie mają one na celu ułatwić asymilację mniejszości przez większość, a tem samem z chwilą spełnienia tego zadania przestaje istnieć racja ich dalszej mocy obowiązującej. W ten sposób zasadzie generalizacji zobowiązań mniejszościowych, przeciwstawiono zasadę ich przejściowego charakteru.

Cokolwiekby się dało powiedzieć o stosunku traktatów mniejszościowych do zagadnienia suwerenności i *prostige*, u państwa, bezspornem pozostanie, że traktaty te dają wyraz pewnej nieufności głównych mocarstw w stosunku do państw nowopowstających lub znacznie zwiększających swe terytorjum. Aczkolwiek praktyka zawierania tego rodzaju traktatów nie jest nowa, to jednak była stosowana zawsze tylko do państw słabszych, w stosunku do których tego rodzaju postanowienia można było narzucić. O ile nieuzasadnionem było już w okresie konferencji pokojowej stosowanie do Polski wyjątkowych norm traktatowych, o tyle z biegiem czasu i ze względu na mocarstwową pozycję, należną Polsce w gronie państw społeczności międzynarodowej, nie ulega wątpliwości, że zmieniają się istotne okoliczności i warunki, w jakich Polska traktat mniejszościowy podpisaływała. W tych warunkach, zgodnie z zasadami międzynarodowego porządku prawnego, idei państwa współczesnego, warunków zawarcia i dopełnienia samego traktatu, jak i celów tego traktatu, staje się coraz bardziej aktualną kwestja rewizji traktatu mniejszościowego, czy to na podstawie norm, zawartych w samym traktacie, czy nawet przez zastosowanie klauzuli *rebus sic stantibus* jak i norm prawa narodów, dotyczących wygaśnięcia mocy obowiązującej traktatu.

W art. 12 traktatu, zawartego między Polską a Głównemi Mocarstwami Sprzymierzonymi i Stowarzyszonemi t. j. Stanami Zjednoczonemi, Anglją, Francją, Włochami i Japonją, znajdujemy postanowienia dotyczące ewentualnej zmiany tego traktatu. Ponieważ wspomniany artykuł mówi tylko o zmianie traktatu, a nie także o jego wygaśnięciu, czy zupełnem zniesieniu, należy przypuścić że wygaśnięcie mocy tego traktatu, względnie jego wypowiedzenie, może nastąpić także w innej formie, przez art. 12 nieprzewidzianej. Niezależnie od tego, traktując ewentualnie żądanie Polski uznania traktatu za wygasły, jako *maximum* zmian postanowień traktatowych, możliwą jest jego rewizja, w kierunku całkowitego obalenia, także w drodze procedury przewidzianej w art. 12. Jest rzeczą oczywistą, że kontrahenci traktatu mniejszościowego liczyli się z możliwością potrzeby zmiany jego postanowień i zmianę tę postanowili ułatwić. Wspomniany artykuł przewiduje, że mocarstwa kontrahujące zgadzają się nie odmawiać swej zgody na zmianę postanowień traktatu, o ile wypowie się za tem większość Rady Ligi Narodów. Traktat został zawarty pomiędzy Polską a pięcioma mocarstwami. Stąd formalnie wszelkie zmiany w traktacie mogą przeprowadzać tylko te państwa, a nie bezpośrednio Rada Ligi Narodów. Główne Mocarstwa obowiązane są jednak rewizję traktatu przeprowadzić, o ile wypowie się za tem Rada Ligi Narodów, zwykłą większością głosów.

Byłoby pożądanem zmienić opinję Ligi Narodów w kwestji traktatów mniejszościowych ogólnych, w kierunku zastąpienia ich bezpośredniemi umowami pomiędzy państwami sąsiadującemi, a stąd zainteresowanemi we wzajemnej ochronie swych mniejszości. Idea generalizacji postanowień traktatowych byłaby w tym wypadku zastąpiona ideą scalenia pod względem narodowym ludności państw, oraz ideą porozumień partykularnych pomiędzy państwami, zainteresowanemi w kwestjach mniejszościowych.

W świetle tych rozważań obecność Polski w Radzie Ligi Narodów tak dziś jak i w dalszej przyszłości jest koniecznym postulatem międzynarodowej polityki i najżywotniejszych interesów państwa. Wyświetlenie stanowiska państw w stosunku do mniejszości narodowościowych i zastąpienie opacznej doktryny traktatów mniejszościowych zdrową doktryną prawną i polityczną, leży tak w interesie poszczególnych państw, jak i samych mniejszości, jak wreszcie samego prawnego porządku międzynarodowego.

ZBIGNIEW WŁADA

O ZMIERZCHU KAPITALIZMU

I NOWYM USTROJU SŁÓW KILKA

(Dokończenie)

POWOLI jednak to idealne jednokierunkowe współdziałanie wszystkich czynników, które przedtem nigdy nie istniało w tym stopniu, a często inaczej się układało, zaczęło szwankować. Przedewszystkiem zaczęła nie dopisywać praca kierownicza, wielkość bowiem przedsiębiorstw zaczęła przybierać rozmiary, dla których opanowania coraz trudniej było znaleźć odpowiednich ludzi, tak, że korzyści, płynące z tego tytułu dla największych przedsiębiorstw, zaczęły odpadać, a nawet zamieniać się w niekorzyści i straty. Z kolei rzeczy nagromadzanie coraz większych mas robotników zaczęło już nie podnosić, lecz zmniejszać ich wydajność pracy; wymyślony na to środek zaradczy w postaci „naukowej organizacji pracy“ nie zawsze jest możliwy i skuteczny. W technice zastosowanie silników elektrycznych i potanienie maszyn wskutek produkcji ich zapomocą maszyn, znacznie osłabiło jej dotychczasowe silne wpływy koncentracyjne; w niektórych dziedzinach utrzymały się one, lecz w licznych zupełnie znikły. W dziedzinie organizacji zrzeszeniowa forma przedsiębiorstw, w miarę ich wzrostu, zaczęła coraz bardziej wykazywać swe braki, wynikające z braku związania własności z kierownictwem i coraz trudniej było wetować je upodobnianiem organizacyjnem tych przedsiębiorstw do jednostkowych bez wzbudzania do nich nieufności. W rezultacie, z początkiem już XX w., wyższa rentowność wielkich, największych przedsiębiorstw w porównaniu z małemi zaczęła się opierać przeważnie tylko na korzyściach handlowych i finansowych, jakie im dawała ich wielkość, a nie na wyższej produkcyjności, czy też niższych kosztach rzeczowych. Nawet i w tych, dość licznych jeszcze dziedzinach, gdzie technika wciąż jeszcze działała koncentracyjnie dzięki możności stosowania „metod ciągłych produkcji“ lub homogeniczności produktu, korzyści stąd wynikające były w porównaniu z innemi korzyściami stosunkowo niewielkim składnikiem owej wyższej rentowności. Stąd wyższa rentowność zaczęła nie iść w parze z wyższą produkcyjnością, działanie koncentracyjne prawa wielkości przedsiębiorstw zaczęło stać w sprzeczności z interesem społecznym. Okoliczność ta zaostrzyła niepomiernie wady ustroju kapitalistycznego, wynikające z „wiązania“ go przez rozwój jego czynników. Wywołała ona szereg zjawisk i tendencyj społecznych, politycznych, moralnych i t. p., jednem słowem pozagospodarczych, wynikłych z gospodarczych i znowu decydujących o gospodarczych zjawiskach, które zaczęły coraz silniej zmieniać podstawy tego ustroju i nadwyrężać jego funkcjonowanie.

Po wojnie światowej tendencje te i zjawiska [1]), przybierając na sile, tak silnie zahamowały ruch ustroju kapitalistycznego, tak naruszyły jego podstawy, że wyraziło się to w zjawiskach kryzysowych o najwyższej mocy, wskutek czego można z dużą racją mówić o rozkładzie ustroju kapitalistycznego i powstawaniu nowych form ustrojowych. Owe dwa czynniki, które dotąd działały jeszcze koncentracyjnie, rynek i kapitał, naskutek przewrotów wojennych i powojennych zaczynają, zdaje się, zmieniać kierunek swego działania, działać również dekoncentracyjnie. Z powodu decentralizacji przemysłu i jego rozpowszechnienia się, nadprodukcji przemysłowej i rolniczej, zmian warunków produkcji rolniczej, rynki się zamykają, zmniejszają, przemieniają się na narodowe, i to zapewne stale, nie przejściowa. Również w tym kierunku zaczynają działać stosunki kapitałowo-finansowe. Zmniejszył się zapas rozporządzalnych kapitałów obrotowych, upadło zaufanie do instytucyj, pośredniczących w rozdziale kapitału, powstała niechęć do inwestowania ich w dalekich stronach, w wielkich przedsiębiorstwach, bez możności bezpośredniej kontroli, a z ryzykiem wstrząsów międzynarodowych, upadły więc podstawy pracy finansjery międzynarodowej. Nic to dziwnego. Związany kapitalizm XX w. mógłby sprawnie funkcjonować tylko przy wytworzeniu się z całego świata jednolitego terytorjum politycznego, usunięciu możliwości wojen i zmian wartości pieniądza, bo inaczej przedstawiałby za duże ryzyko dla tak dużych inwestycyj, jakich wymagają przedsiębiorstwa tego okresu. Stąd też nietylko rynek handlowy, lecz i kapitałowy zaczyna działać dekoncentracyjnie, ułatwiać pozycję mniejszych przedsiębiorstw, opartych na zaufaniu osobistem, i indywidualistycznie zorganizowanych, dawać im łatwiejsze warunki uzyskania kapitałów, niż wielkim przedsiębiorstwom.

Wydaje mi się więc, że prawo wielkości przedsiębiorstw zmienia kierunek swego działania, wywołując rozpadanie się ustroju wielkiego kapitalizmu związanego, którego okres się kończy. Naturalnie nie można zamykać oczu na okoliczność, że w wielu dziedzinach przemysłu technika wciąż jeszcze działa koncentracyjnie. Lecz korzyści tem przysparzane są niepomiernie mniejsze, niż dawniej, gdy do tego przyłączały się i wypływające z działania pozostałych czynników. Pozycja więc tych przedsiębiorstw będzie przy wolnej konkurencji niepomiernie słabsza, niż dawniej. Panującym typem, bo najrentowniejszym, okaże się stopniowo średnie i małe przedsiębiorstwo, dostosowane do rynku państwowego i oparte na narodowych kapitałach, indywidualistyczne lub do niego zbliżone czy upodobnione. Polityka gospodarcza winna przejście do tego stadjum przygotowywać i ułatwiać. Wchodzimy w okres kapitalizmu drobnego, z konieczności pod względem gospodarczym liberalnego, podobnego może do ustroju początków XIX w., choć w szczegółach nieraz bardzo różnego. Uważny obserwator współczesności znajduje, mem zdaniem, wiele w niej już obecnie faktów, stwierdzających ten kierunek ewolucji. Dopiero po przebyciu tego okresu zapewne nastąpi nowy okres

---

[1]) Omówiłem je szerzej w artykule „Istota kryzysu światowego“, Ruch prawniczy i ekonomiczny, Z. IV 1931, s. 314—324.

rozszerzania się współpracy międzynarodowej i w związku z tem być może wzrostu przeciętnego typu przedsiębiorstw, lecz już oparty na nowym całkiem układzie sił i nowych stosunkach produkcyjnych. Naturalnie, określając ten nowy ustrój, nie mam na myśli, że odnośne formy przedsiębiorstw będą w nim wyłącznemi, a pewna polityka jedyną, lecz tylko, że będą w nim przeważać, stanowić przeciętną, nadawać mu charakter, w ogólności bowiem w żadnym ustroju społecznym nie może być ani jednostronności, ani wyłączności.

Ale o formie ustroju gospodarczo-społecznego decydują nietylko czynniki gospodarcze, lecz i inne, pozagospodarcze. Byłoby przestarzałym „materjalizmem historycznym" uważać ustrój społeczny za funkcję i wykładnik tylko stosunków gospodarczych. Nie trzeba jednakże z drugiej strony wpadać w przeciwny błąd i zapoznawać wpływów gospodarczych, jak to wielu czyni.

Załamanie się ustroju wielkokapitalistycznego wytwarza wielki okres kryzysowy, okres upadku dochodowości gospodarstwa społecznego, rozstroju w rozkładzie tego dochodu, okres biedy, nędzy nawet. Odbija się to przedewszystkiem na warstwach nieposiadających i mało zamożnych. Mając w swem ręku liczbę i w obecnym ustroju wpływ polityczny, nic dziwnego, że pragną zapomocą tego narzędzia, a więc wpływu na państwo, poprawić swe położenie. Stąd naturalne tendencje do reformowania ustroju kapitalistycznego zapomocą państwa, rozszerzania jego wpływu, a więc atakowanie przedewszystkiem prywatnej własności i wolności gospodarczej, dążność do ich ograniczenia, plany gospodarstwa planowego najrozmaitszych odcieni. Idą im na rękę niejedni przedstawiciele idealistycznych światopoglądów, którym niedość myślowo pogłębiony idealizm narzuca niejednokrotnie uczuciową niechęć do rzekomo fałszywych, materjalistycznych praw ekonomicznych [2]). Owe więc czynniki natury socjologicznej pchają ludzkość nie w kierunku, wskazanym przez nas, lecz przeciwnym, ku ustrojowi gospodarstwa planowego. Który z tych prądów zwycięży?

Trudno na te pytanie odpowiedzieć. Można jedynie wskazać na konsekwencje każdej ewentualności.

Zwycięstwo kierunku przewagi planowego regulowania produkcji i dochodów, powiedzmy wyraźnie kolektywistycznego, w formie jakiegoś korporacjonizmu, kolektywizmu syndykalistycznego czy państwowego, czy też kapitalizmu państwowego, przy psychice człowieka takiej, jak ją znamy z historji dostępnych nam 2000 lat, niewątpliwie byłoby połączone z upadkiem dobrobytu, zmniejszeniem się dochodu społecznego, a więc utrwaleniem, pogorszeniem obecnego stanu rzeczy, wskutek pozbycia się głównego motoru produkcji, jaki dają wolność i własność. Odmiennie przedstawiała się rzecz w średniowieczu: wówczas regulacja produkcji i dochodów, ograniczona zresztą, była powiększeniem dobrobytu w porównaniu z poprzednim ustrojem wskutek wprowadzenia tą drogą, utrwalenia i chronienia podziału pracy, dawniej nie istniejącego. Nie można się też łudzić, że motor ten dałby się zastąpić innym, uczuciem kolektywnem, poczuciem obowiązku. Cywilizacja aryjska, w szczególności europejska, była dotąd typowo indywidualistyczną; nawet w jej religji, chrześcijaństwie, wyraźnie się to zaznacza. Czynnikom wolności, interesu własnego i odpowiedzialności osobistej zawdzięcza swój rozwój i w nim je w coraz wyższym stopniu dotąd urzeczywistniała. Wątpliwem jest nad wyraz, czyby taki zwrot zasadniczy w tej cywilizacji dał się wogóle, a przynajmniej szybko, dokonać. A gdyby nawet to nastąpiło, to niewątpliwie Europa zostałaby wtedy wyprzedzona przez ludy cywilizacji azjatyckiej, która z dawien dawna spoczywa na tej właśnie podstawie, poczuciu obowiązku wobec kolektywu, wskazywanem i dozorowanem przez kierowników tegoż. Mielibyśmy wtedy niewątpliwie do czynienia z okresem upadku kultury europejskiej, rzymskiej, a prymatu azjatyckiej. Lecz czy motor ten zastąpiłby w swych wynikach dostatecznie działanie dotychczasowych podstaw kultury europejskiej? czy dałby równe zaspokojenie potrzeb, lub okupił mniejsze jakiemiś dodatkowemi korzyściami natury pozagospodarczej? Można o tem śmiało wątpić. Tak rozwój moralny jak materjalny społeczeństw europejskich, rezultaty kultury i cywilizacji, przez nie osiągane, wskazują na wyższość przewodniego motywu ich twórczości. Zasklepienie, skostnienie cywilizacyjne i kulturalne, mniejsza zamożność, bynajmniej nie wyższa, jednostronnie rozwinięta, moralność narodów azjatyckich jest najlepszym wskaźnikiem dla oceny tych czynników.

W tych warunkach powszechnego ubożenia niewątpliwie tem silniej zacząłby występować wpływ sił gospodarczych, dążenie do ustroju, dającego większą zamożność i dobrobyt, pozwalającego wyżywić lepiej więcej ludzi. Nie przesądzam, w jakiej formie społecznej siły te ujawniłyby swą działalność. Możliwie, że w formie poddania się dyktaturze jednostek przewidujących i świadomych ze strony zobojętniałego wskutek biedy na zagadnienia polityczne tłumu, jak to już nieraz w historji bywało. Zwiększenie wydajności majątku społecznego dałoby się wówczas przeprowadzić tylko przez restytucję własności i wolności gospodarczej, czyli przez nawrót do liberalnego gospodarczo, drobnego kapitalizmu, a więc do okresu, który przewidujemy jako następstwo obecnego związanego, wielkokapitalistycznego ustroju, o ileby naturalnie działanie prawa wielkości przedsiębiorstw nie zmieniło w tym czasie swego kierunku. Podobny ostrożny nawrót widzimy np. obecnie sporadycznie w Rosji Sowieckiej. Końcem więc końców siły gospodarcze w stosunkach gospodarczo-społecznych musiałyby zatrjumfować.

Formy ustrojowe są obok innych czynników także i wynikiem świadomego działania ludzi [3]). Znając możliwości, związane z każdem rozwiązaniem, sądzę, że wskazanem jest oddziaływać w kierunku uzyskania nowego ustroju gospodarczego w takiej formie, jakiej wymagają w danych warunkach tendencje gospodarcze i jaka jest najkorzystniejsza z punktu widzenia gospodarczego. Wydaje mi się, że drobny kapitalizm, oparty na

---

[2]) Omówiłem tę niechęć, polegającą na nieporozumieniu i braku znajomości rzeczy, w artykułach „Katolicyzm a ekonomika wobec kwestji robotniczej" w nr. 42 i 43 „Przeglądu Katolickiego" z 1 i 8 listopada 1931 r. Uwagi tam zawarte odnoszą się nietylko do uprzedzeń ze strony światopoglądu religijnego, lecz i wypływających niejednokrotnie ze strony przedstawicieli światopoglądu nacjonalistycznego.

[3]) Na okoliczność tę zwraca bardzo trafnie i silnie kilka razy uwagę R. Rybarski w swej pięknej pracy „Przyszłość gospodarcza świata", Warszawa 1932.

liberaliźmie gospodarczym i gospodarstwie narodowem, jest tym nowym ustrojem, który się wyłania z rozstroju ustroju wielkokapitalistycznego. Nie widzę żadnych korzyści pozagospodarczych, któreby potrafiły okupić szkody gospodarcze, wynikłe z niedopuszczenia do jego powstania, a przeciwnie widzę także cały szereg związanych z nim pozagospodarczych korzyści, moralnych, politycznych i in. Współpraca nad jego wyłonieniem się— to, mojem zdaniem, zadanie, realizujące postęp świata w obecnej jego fazie rozwojowej, gospodarstwo zaś planowe — to, albo uwstecznienie dróg rozwojowych ludzkości, albo w najwyższym stopniu szkodliwe interludjum, grożące upadkiem kultury europejskiej.

Poznań EDWARD TAYLOR

SIENKIEWICZ A LITERATURA ŁUŻYCKA

DO ROSNĄCEJ stale literatury o Sienkiewiczu przybyło ważne studjum dr. Witolda Taszyckiego, profesora slawistyki w uniwersytecie lwowskim, p. t. „Sienkiewicz w piśmiennictwie łużyckiem". Było ono drukowane w „Ruchu Słowiańskim" (R. III. Nr. 8 - 9) a następnie, rozszerzone, wyszło w osobnej odbitce (Warszawa 1931, Gebethner i Wolff).

Rozprawka prof. Taszyckiego porusza problem tem ważniejszy, iż badania nad wpływem twórczości artystycznej polskiej na obcych, są wogóle mało rozwinięte. Od czasu odzyskania niepodległości zaszła tu wyraźna poprawa. W ostatnich latach mamy do zanotowania pracę prof. Marjana Szyjkowskiego z Pragi o wpływie literatury polskiej na odrodzenie piśmiennictwa czeskiego[1]). Także Zjazd im. Kochanowskiego w Krakowie, odbyty w czterechsetną rocznicę urodzin poety, dał podnietę do badań na polu porównawczem. Na Zjeździe tym wygłoszono trzy prelekcje na temat ekspansji literatury naszej. A. Martel mówił o wpływie poezji polskiej na kraje ruskie w XVII w. P. Panaitescu przedstawił wpływ literatury polskiej na Rumunów w stuleciach XVI i XVII, wreszcie J. Horak scharakteryzował rolę Kochanowskiego w literaturze czeskiej. Opracowania te wydrukowano w Pamiętniku Zjazdu (Kraków 1931).

Łużyczanie, najmniejszy naród słowiański, zgermanizowany w zaraniu swego bytu historycznego, dziś liczący zaledwie 150,000 ludności, rozwinęli w ciągu XIX stulecia dość intensywne życie kulturalne. Znakomity patrjota, J. E. Smoler, poeta ludowy H. Zejler, wysoce utalentowany liryk J. Bart-Ćiszinski, prozaik J. Winger i J. Lorenc-Zalieski oto główni twórcy *risorgimento* duchowego Łużyc. Wielka wojna nie ulżyła w niczem — jak informuje Taszycki—doli tych Słowian, rzuconych jak wysepka, wśród morza teutońskiego. Pomimo wrogości rządu i społeczeństwa niemieckiego, Łużyczanie nietylko trwają, lecz nurt ich życia narodowego pogłębił się i poszerzył: „Wzrost ten zaznacza się zarówno w literaturze, jak w sztuce, nauce i pracy społecznej... W możliwie najgorszych warunkach walczą Łużyczanie o utrzymanie narodowości i rozwój kultury rodzimej, ufni we własne siły i pomoc pobratymców, zwłaszcza zaś Czechów i Polaków".

Badania Taszyckiego wykazują, iż przy powstaniu powieści łużyckiej rolę niepoślednią odegrała twórczość Sienkiewicza. Dokonało się to na tle silnego polonofilstwa, którego pionierem był wybitny publicysta Mikławsz Andricki, redaktor miesięcznika „Łužica", wychodzącego w Budziszynie. Od jubileuszu 25-letniej działalności literackiej Sienkiewicza ukazują się w „Łužycy", co pewien czas, przekłady wyjątków z „Ogniem i mieczem", fragmenty mów i artykułów oraz dwie nowele „Janko muzykant" i „Latarnik". Andrickiego wspomaga Jurij Winger, gorący entuzjasta polszczyzny, tłumaczący wyjątki z „Krzyżaków", „Organistę z Ponikły", „Pójdźmy za Nim", „Bartka zwycięzcę", „Za chlebem". Sienkiewicz przyczynił się w znacznym stopniu do obudzenia w Wingerju pisarza samodzielnego. Pierwsza powieść historyczna łużycka p. t. „Hronow" Wingerja powstała pod wpływem epopei sienkiewiczowskiej „Ogniem i mieczem". Szczegółowe zestawienie, przeprowadzone przez prof. Taszyckiego, wykazuje niezbicie zależność Wingerja od twórcy Trylogji zarówno w wyborze czasu akcji, jak zwłaszcza w niektórych obrazach, porównaniach i opisach. Np. technika i plastyka w opisie oblężenia Budziszyna przypomina uderzająco oblężenie Zbaraża. Sienkiewicz oddziałał dodatnio na artyzm powieści Wingerja, która zresztą jest utworem „naogół słabym, pełnym usterek i niedostatków".

Także w poezji łużyckiej znajdują się echa dzieł Sienkiewicza. Największy poeta łużycki Jakób Bart-Ćisziński osnuł na motywach z „Quo Vadis" dwa utwory „Neronowe swiecy" (Pochodnie Nerona) i „*Ad bestias*". Na pierwszy z tych wierszy mógł również wywrzeć wpływ znany obraz Siemiradzkiego. Po wojnie kult Sienkiewicza nie zamarł. W piśmie „Serbskie Nowiny" pojawiają się w r. 1923 przekłady „Starego sługi" i „Hani", dokonane przez nowego polonofila, B. Cyża, zaś w r. 1930 wychodzi tłumaczenie całego „Quo Vadis". Autorem przekładu jest wytrawny pisarz Jan Bryl, który ostatnio przetłumaczył „Tę trzecią". Jako dowód pietyzmu Łużyczan wobec Sienkiewicza cytuje Taszycki fakt, że gdy zwłoki uwielbianego autora, przewożone ze Szwajcarji do ojczyzny, wystawiono w Pradze, literaci łużyccy złożyli na trumnie wieniec z napisem: „Wielkiemu genjuszowi narodu polskiego—Koło pisarzy łużyckich".

Studjum prof. Taszyckiego, oparte na bogatym materjale faktycznym, przynosi sporo ciekawych informacyj o współczesnych Łużycach. Naukowy rezultat badań autora, streszczający się w odkryciu budzicielskiej roli Sienkiewicza wśród najbardziej zachodnich Słowian, potrzebujących ciągłego „krzepienia serc", powinien zainteresować historyków literatury polskiej i szerokie koła miłośników genjuszu Sienkiewiczowego. Dodać należy, iż studjum Taszyckiego spotkało się z bardzo przychylnem przyjęciem w krytyce czeskiej, zwłaszcza w „*Slovanskym Prehledzie*", w którym pisał o niem A. Czerny.

MIECZYSŁAW PISZCZKOWSKI

[1]) Ukazała się dotychczas część pierwsza, drukowana po czesku w wyd. Instytutu słowiańskiego.

U WEZGŁOWIA CHOREJ EUROPY

OD CZASU jak uznano, że nasza część świata jest dotknięta ciężką niemocą, gromadzą się wciąż u jej łoża rozmaici lekarze i znachorzy, doradzając i obmyślając przeróżne środki ratunku: jedni leczą jej ciało, inni chcą przedewszystkiem uzdrawiać jej duszę.

Do tych ostatnich przyłączył się niedawno znakomity pisarz rosyjski, Mereżkowski, znany dobrze u nas nie tylko jako powieściopisarz, lecz także jako odkrywca na gruncie Polski zmartwychwstałej jeszcze jednego pół-boga, w rodzaju Peryklesa...

W przemówieniu swojem, wygłoszonem na wiosnę r. bieżącego we Florencji, podczas odbywającego się tam kongresu „Wysokiej kultury“ *(„Congresso di alta cultura“)*, postawił Mereżkowski djagnozę choroby naszej „Matki—Europy“, jak się wyraża, i wskazał na to, co ją może uzdrowić. Niewiem, czy „Matka — Europa“ będzie mogła skorzystać z rad Mereżkowskiego, w każdym razie jednak sądzę, iż przyjemnie jej było dowiedzieć się, że on jej się nie wyparł, jak to uczynili liczni przedstawiciele „elity“ rosyjskiej na emigracji, co jak owi „eurazjanie“ z księciem Eug. Trubeckim na czele doszli do przekonania, że Rosja była w błędzie, gdy ulegała „złudzeniom zachodnim“, i że właściwa jej droga prowadzi na Wschód.

Mereżkowski, przeciwnie, nie zrywa z Zachodem, a nawet snać łączą go z nim jakieś poufniejsze związki, gdyż ze czcią mówi o „świętej ziemi włoskiej“, o „przenajświętszej Maria del Fiore“ i t. p., — mimo to wszakże z tego, jak rozważa chorobę Europy i z tego, skąd, podług niego, może przyjść jej uzdrowienie — zalatuje Wschodem.

„Zebraliśmy się tutaj—mówi M.—by z troską i miłością wpatrywać się w oblicze Europy, chorej naszej macierzy. Lecz czy ma ona jedno tylko oblicze? Czy nie ma mnóstwa sprzecznych z sobą oblicz?“

I tu, na przykładzie dwóch najbardziej syntetycznych genjuszów kultury europejskiej: Goethe'go i Leonarda da Vinci, którzy potrafili połączyć i pogodzić w sobie wszystkie jej sprzeczne oblicza, stara się Mereżkowski unaocznić zebranym błąd popełniany dotychczas przez „Europejczyków o wyższej kulturze intelektualnej“, z którego to błędu wywodzi się choroba Europy, jej, przeżywany obecnie, śmiertelny kryzys duchowy. Błędem tym było godzenie nieba z ziemią, „grzanie się przy dwóch ogniach, bez obawy sparzenia się“, „służenie panu Bogu, zaprzedawszy duszę djabłu“ i t. p. Z pragnienia korzystania naraz z podobnych przeciwieństw oraz godzenia z sobą nieba i ziemi, materji i ducha, w czem upatrywano potęgę człowieka, drogę do osiągnięcia najwyższego szczęścia, zrodziła się, zamiast tego wszystkiego, niemoc dusz ludzkich, ich dwoistość, a stąd ich niestateczność. Marzenie tytanów (Leonardo i t. p.): „będziemy jako bogowie“ nieziściło się, z rozdwojenia dusz natomiast powstała nasza, czysto zewnętrzna kultura europejska, która jest „ciałem bez duszy, trupem“. Jest ona taką, gdyż pozbawiona jest wiary i zapomniała imienia Chrystusowego.

Tak, w streszczeniu, przedstawia się myśl przewodnia wykładu Mereżkowskiego o kulturze europejskiej oraz jej chorobie.

Ponieważ to wszystko zaczepił Mereżkowski o żywot i ducha Leonarda, zatrzymujemy się na chwilę na tem, jak on, fałszywie go pojmując, odnajduje w nim prawzór niemocy duchowej kultury europejskiej. Mereżkowski jest autorem znanej powieści „Zmartwychwstanie bogów“, w której, na tle kultury Odrodzenia rozsnuwa żywot Leonarda da Vinci, tego „pierwszego tytana“ naszych czasów, jak go nazywa. W wykładzie florenckim popełnia Mereżkowski te same błędy w charakterystyce Leonarda, które znaliśmy dawniej już z jego powieści.

Twórcę „Wieczerzy“ nazywa: „apostatą“; następnie, porównywając Leonarda z Kolumbem, tak powiada: „Kolumb posiadał mało wiedzy, lecz wielką wiarę i odkrył Nowy Świat; Leonardo posiadł wielką wiedzę, lecz małą miał wiarę, i w porównaniu z tem, co mógł uczynić, nie dokonał niczego prawie“. Dalej jeszcze dowiadujemy się, że Vinci nie zna albo niechce znać imienia Chrystusa, a nawet, co gorsza, pozostaje obojętnym, wówczas gdy je zna... Stąd „tortury bezsiły, która była męką całego życia Leonarda“ i t. d.

Znam bezwzględniejszych oskarżycieli Leonarda o bezduszny intelektualizm, o brak wiary i t. p., znam takich, co pomawiali go o drapieżny demonizm i oschłość serca, ale ci, chociaż w grubym byli błędzie, popierali twierdzenia swoje jakiemiś dowodami, Mereżkowski natomiast wyrokuje na podstawie własnych domysłów, wyrażając je, jak zwykle, stylem apokaliptycznym, pełnym znaczących porównań i poetycznych przenośni. Są to piękne fantazje na temat Leonarda, rzeczywistość jednak jest zupełnie inna. W jakim sensie np. Leonardo był „apostatą“ trudno zrozumieć? Umarł przecie jako dobry chrześcijanin, pojednany z Bogiem, a żadnego innego odstępstwa nie znajdziemy także w jego życiu. W wierze swojej wytrwał do ostatka dni swoich, a była ona wielka, bez niej bowiem nie posiadłby tej ogromnej wiedzy, jaką wszyscy podziwiamy; wiara jego wyrażała się dążeniem do prawdy oraz nieumęczonem jej zdobywaniem.

„Kłamstwo „— powiadał —“ jest tak nędzne — że nawet wtedy, gdy mówi jaknajpiękniej o Bogu, pozbawia boskość wdzięku“...

Żałuje Mereżkowski tego, czego Leonardo nieuczynił, chociaż mógł (co o tem, właściwie, może wiedzieć M.?), a zapomina o tem, co Leonardo uczynił, bo twierdzi, że „nie dokonał niczego prawie“. Nad tem można przejść do porządku dziennego, bo chociaż czas nie oszczędzał dzieł wielkiego twórcy „Wieczerzy“ i t. p., te ich szczątki, jakie pozostały, nie przestają być dotychczas dla nas źródłem podziwu, nauki oraz natchnienia i świadczą o potędze i bogactwie jego genjuszu twórczego.

Żył bez Boga, nie znał imienia Zbawiciela! I to jest także pusty strzał w kierunku myśliciela i twórcy, który każdą niemal pracę swoją, wszelkie wysiłki swego genjuszu polecał opiece Inteligencji Najwyższej, którą przeczuwał poza żelazną koniecznością, rządzącą wszechświatem; a cóż już mówić o przedziwnym artyście, któremu z głębokiego wzruszenia drżały ręce, gdy przystępował do malowania głowy Chrystusa, o tym, co stworzył niezrównane dzieła (w galerji Brera, w Akademji We-

neckiej i d.), wyobrażające rysy Odkupiciela, któremi nawet detraktorzy mistrza potrafią się zachwycać, co malował „Wieczerzę“, „Bachusa“ i „Św. Jana“, te najsubtelniejsze symfonje, zlewające najtrwalsze wierzenia ludzkości z najpoufniejszemi uczuciami i najprzenikliwszemi jej myślami.

Leonardo był Kolumbem w sferze ducha i tu odkrywał „Nowy Świat“, odkrył bowiem tego człowieka (naprzód w sobie samym), który jest „wierzącym w rzeczach boskich, logikiem w rzeczach ludzkich, eksperymentatorem w dziedzinie przyrodzonej“.

Że wobec ogromu zadań, jakie sobie stawiał, mógł Leonardo przechodzić „tortury bezsiły“, co było męką jego żywota, to jest rzecz zrozumiała, męka ta wszakże świadczy o jego wzniosłości duchowej, o tem, że nie był człowiekiem zewnętrznym, nie był pozbawionym tych „skrzydeł wewnętrznych“, jakich mu odmawia Mereżkowski, — świadczy słowem, że ta „kultura europejska“, której był świetnym wyobrazicielem i jednym z twórców, nie była ciałem bez duszy.

Na to, że nie była ona rozdwojeniem ducha, jego rozterką, niestatecznością i chwiejnością, że w prawdziwej istocie swojej zawierała pierwiastki siły, i żywotności, których wartość pozostaje niezmienna, i że z nich, w okresie kryzysów kultaralnych, należy czerpać soki odżywcze i środki uzdrawiające,—można wiele innych przytoczyć dowodów. Przejdźmy jednak do tego, skąd Mereżkowski spodziewa się uzdrowienia chorej obłożnie „Matki — Europy“.

Zdaniem Mereżkowskiego kultura europejska obywa się bez Chrystusa. „Synowie wysokiej kultury „— powiada —“ dzieci tego świata, podobni do swych przewodników, Leonarda da Vinci i Goethego, niechcą go znać, lub, co gorsza, pozostają obojętni, nawet gdy go znają. Nie są zimni, ani gorący, ale letni, podobnie jak ci, którym zapowiedział Pan, iż ich wyrzuci z ust swoich“. Tak też, mniej więcej, czyni Mereżkowski—wyrzuca z ust swoich „synów wielkiej kultury“, i samą „Matkę—Europę“, o której tak czule mówił w przemówieniu swojem, i zwraca się do kraju, w którym ludzie cierpią w imię Chrystusa, jak, być może, podług niego, nigdy i nigdzie nie cierpieli. Krajem tym jest — Rosja. „Tam, powiada, trzeba być zimnym albo gorącym, niepodobna być letnim; trzeba wybierać między Bogiem a Szatanem; tam Chrystus jest obecny nietylko w Kościele, lecz i w świecie“. Dzisiaj Rosja jest niema — mówi dalej — żywcem pogrzebana; lecz gdy powstanie z grobu, kto wie, czy nie wymówi imienia Chrystusowego tak, że świat je usłyszy.

Nie dziwi nas wiara rozbitka w zmartwychwstanie własnej, udręczonej ojczyzny, jak i to, iż mniema, że stamtąd może jeszcze wyjść takie słowo urocze, które cały świat usłuszy, a dla Europy może być zbawieniem. To wszystko jest w zgodzie z wiarą mesjaniczną Mereżkowskiego, którą i dawniej wyznawał, cóż dopiero teraz, gdy, spożywając gorzki chleb tułacza, pokrzepiać nią musi znękanego ducha. Wszakże niedawno (w książce o Napoleonie) postawił na straży Europy Wielkiego Cesarza, by ją strzegł przed Czerwonym Szatanem; dzisiaj, żyjąc nadzieją wyzwolenia kraju swego z pod jego przemocy, wierzy, iż wówczas może wyjść stamtąd słowo, które uzdrowi także i chorą Europę, a w martwe ciało kultury europejskiej tchnie ducha ożywczego.

Nie mogę podzielać jego wiary, ani jego złudzeń. Nasampierw dlatego, że jest rzeczą bardzo niepewną, iżby w Rosji zostało wypowiedziane kiedyś w tak osobliwy sposób imię Chrystusa, że usłyszy je i przejmie się niem świat cały, — a następnie, iż o wiele jest pewniejsze, że tam będzie ono wypowiedziane—jeśli to się stanie—mniej więcej tak samo, jak było już tam nieraz wyznawane, t. j. tak, że nie powoła ono wszystkich ludzi do nowego, wyższego życia. W Rosji, przed rewolucją bolszewicką, cierpieli ludzie nieraz w imię Chrystusa niemniej, jak cierpią obecnie, no i z tego wielkiego ich cierpienia nic zbawiennego nie wyszło dla nich, ani dla świata.

Cierpieli w Rosji w imię Chrystusa „duchoborcy“, staroobrzędowcy, mołokanie i wszelacy inni sekciarze; cierpieli nieraz nieludzko, odbierali sobie życie z miłości dla Zbawiciela, zakopywali się żywcem w ziemi, bądź spalali się w ogniu, w poczuciu śmiertelnem, iż obciążeni grzechem nie dostąpią zbawienia, poszukiwali męczeńsko „Królestwa Bożego“, spragnieni byli nieba—a wszystko to napróżno, w samem dążeniu ich bowiem nie było treści życia, lecz sama tylko śmierć. Poza innemi przyczynami wypływało to stąd, iż pojęcie ich o Chrystusie było nie dla życia, lecz dla śmierci. W Rosji, na wszystkich szczeblach kultury religijnej, zachodziło szczególniejsze zjawisko, mianowicie: „powszechne pogrzebanie świata w Chrystusie“, jak to doskonale oświetlił jeden z najgłębszych badaczy duszy rosyjskiej, męczonej ideą Boga, znakomity „świecki“ teolog prawosławja, W. Rozanow. Tam wszyscy, co „uważnie” spojrzeli na Chrystusa — umierali. Tam, gdy ludzie zaczną rozważać, czem jest „świat“, „byt“, „życie nasze“, w stosunku do Boga, to skończą na bezwzględnem przeciwstawieniu sobie tych pojęć, i zawsze dojdą do jednego mianowicie, że trzeba wybierać między dwojgiem dzieci Boga: Chrystusem a światem.

Staną na tym martwym punkcie, że niepodobna połączyć Chrystusa ze światem, nie można kochać obu razem, nie można odczuwać słodyczy Chrystusa i słodyczy świata. Stąd więc wszystko, co jest tym światem: rodzina, nauka, sztuka, radość życia ziemskiego—wszystko staje się gorzkiem, albo bez smaku dla tego, kto raz spróbował niebieskiej słodyczy Chrystusowej.

W tego rodzaja kole bez wyjścia obracała się wciąż rosyjska myśl religijna. Wszyscy, którzy w niem przebywali od sekciarzy, od „świętych“, od tych, co się żywcem palili bądź zagrzebywali w ziemi—do Gogola, Tołstoja i t. p., aż do samego nawet Mereżkowskiego, dokonywali owego „powszechnego pogrzebania świata w Chrystusie“, t. j. z osobliwej miłości dla Niego unicestwiali w zarodku wszelkie życie. W ten sposób wypowiadała się, w ciągu dziejów, głęboka religijność psychiki rosyjskiej. Trudno uwierzyć, żeby w przyszłości mogła się ona wyrazić inaczej, i to w taki sposób, że imię Chrystusa tam wypowiedziane wypełni sobą świat ciały i uleczy go z niemocy, na jaką obłożnie zapadł.

Imię Chrystusa tak często wypowiadane w Rosji, w sposób, o jakim mówiłem wyżej, nie uchroniło samych Rosjan od najstraszliwszego niewolnictwa, a Mereżkowski sądzi, że ono kiedyś będzie mogło uzdrowić chorą Europę. Nie, w tym wypadku, jak i w wielu innych, gdy będzie chodziło o nasze wyzwolenie duchowe, Matka—Europa *„farà da se“*, własną świadomością religijną, wy-

rażoną raz nazawsze w swojem pojęciu Chrystusa, będzie mogła się wyzwalać i uzdrawiać. Życie niemocne i chore można uratować tylko życiem zdrowem i silnem, nie zaś śmiercią, a Chrystus w pojęciu chrześcijaństwa europejskiego, zachodniego, jest właśnie takiem życiem przyzwyciężającem śmierć.

Na Zachodzie „uważne" spojrzenie na Chrystusa nie odbierało człowiekowi, jak to się działo w Rosji, smaku życia, nie obracało w nicość, w popiół wszelkich przedmiotów świata. Tu świat nie był równoznaczny z djabłem, a ten, co się światu oddawał, niekoniecznie miał mu z tego powodu zaprzedawać duszę swoją, przeciwnie—można było służyć Bogu, niegorzej, niż wówczas gdy się wyrzekało świata i jego pokus. W Rosji, szczerzy wyznawcy Chrystusa zasmucali się na — śmierć „w Panu", na Zachodzie, przeciwnie—radowali się „w Panu", wówczas, gdy dla nieba porzucali ziemię.

Jedni dążyli do „Królestwa niebieskiego" przez śmierć dobrowolną, żywiąc nadzieję, że dostaną się do niego pomimo życie, przez absolutne zaprzeczenie mu; drudzy wierzyli, iż po życiu doczesnem wejdą do tego Królestwa, większą zaś pewność wejścia tam osiągali w życiu czynnem, nie wyrzekając się go, lecz doskonaląc je i powiększając zasługi osobiste.

Wszystko tu zależało od ich woli, od ich czynu wewnętrznego, od wartości ich ducha.

W pojęciu Zachodu, zgodnie z jego kulturą chrześcijańską, wartość ducha ludzkiego, zwiększa się w miarę walki człowieka ze złem, z tem, co w świecie należy do władztwa Szatana: w Rosji natomiast głoszono, że wyższość duchową osiąga się wówczas, gdy jednostka ludzka „niesprzeciwia się złu", t. j. oddaje świat cały, bez walki, na pastwę wroga Zbawiciela. Gdzie lepiej miłowano Chrystusa, gdzie było się bliżej tego źródła, z którego ludzie czerpali — tu i tam — prawdę zbawienia? — odpowiedź nie trudna.

Jeżeli dla Mereżkowskiego Leonardo da Vinci i Goethe, jako najprawowitsi wyraziciele kultury europejskiej, są „ślepymi tytanami", którzy są skuci „najcięższemi łancuchami", bo wewnętrznemi, — to czemże ma być L. Tołstoj dla nas, jako przedstawiciel duchowej kultury rosyjskiej?

Ślepi tytani Zachodu, rwąc codziennie wysiłkiem własnego ducha swoje kajdany wewnętrzne, odzyskiwali światło wzroku, bo czcili życie i dążyli do wyższych jego postaci: im to wszakże obiecywali aniołowie, śpiewając nad ich duszą: „*Wer immer strebend sich bemüht, Den können wir erlösen*" — przyrzekali im słowem zbawienie. Tytan—L. Tołstoj, ginął wciąż bez nadziei odzyskania jasności wzroku, bez nadziei zbawienia, dlatego, że z osobliwej miłości Chrystusa... usłuchał Szatana i razem z nim przeklął życie, przejął się poczuciem jego zła i znienawidził wszystko, co jest jego dobrem, radością i pięknem. Tragicznym fałszem, wieczystym zgrzytem wypełniony był jego duch, rozdwojony i przechodzący prawdziwie „tortury bezsiły", gdyż nigdy nie miał poczucia jedności swej z bytem, z Bogiem. Nie osiągali tej jedności także ci wszyscy, co w Rosji cierpieli w imię Chrystusa, ci co cierpią tam dzisiaj tak, jak nigdy i nigdzie, być może, nie cierpiano w imię Jego.

Z tych oto powodów, suggestjonowanie chorej Europie, że od Wschodu może zaświtać dla niej nadzieja uzdrowienia, było dość ryzykowne. Jeśli Mereżkowski to uczynił, to—być może—dlatego, że w umyśle jego tułają się jeszcze, wbrew doświadczeniu ostatnich czasów, tradycyjne u Rosjan wyobrażenia o swoim narodzie jako jedynym narodzie — bogonośću, za którego sprawą, w jego Kościele, może się dokonać powszechne połączenie duchowe ludzi w Chrystusie. Tego rodzaju ideą był przejęty jeden z mistrzów Mereżkowskiego — Dostojewski (pomijając innych), najbardziej typowy wyraziciel świadomości religijnej rosyjskiej. Echa tej świadomości rozlegają się we florenckim wykładzie autora, zapowiedzianego tam utworu „Jezus Nieznany".

W jednej ze swoich dawniejszych książek, (p. „*W Tichom Omutie*" — „W cichym Odmęcie"), pisząc o Czechowie, tak mówi Mereżkowski: „Trzeba było nagadać tyle rzeczy zbytecznych, jak myśmy nagadali, trzeba było tyle nagrzeszyć świętemi słowami, jak myśmy nagrzeszyli, żeby zrozumieć, jaką miał on (Czechow) słuszność, gdy nie mówił o rzeczach świętych" (str. 92)).

Może, prawiąc bardzo pięknie, górnie i chmurnie o „rzeczach świętych" u wezgłowia chorej Macierzy — Europy, przypomniał sobie Mereżkowski swoje dawniejsze słowa, gdyż w końcu spostrzegł błąd swój i zakończył wykład w ten sposób: „Kroczmy śladem Dantego ku Temu Jedynemu, który nas wyzwoli z grożącego nam jarzma". Jeszcze tu nie jasno wygląda owo „nam", cały zwrot wszekże jest słuszny: święta prawda—brat będzie zbawion przez brata, Vinci (jeśli jest to mu potrzebne) przez Dantego, Europa chora przez Europę zdrową, bez odwoływania się do obcych bogów.

WŁADYSŁAW JABŁONOWSKI

MOJA PIOSENKA

Tęsknico moja, idziesz w świat,
Idziesz przez wielkie pola,
Ach, a za tobą dąży w ślad
Smutna, samotna dola.

Słońce samotny rzuca blask
Na twe rozległe drogi,
Lecz czemuż rosną — powiedz mi —
Same li osty i głogi?

Tęsknico moja, idziesz w świat,
Idziesz przez światła i cienie,
Ach, a za tobą dąży w ślad
Krwawiących dni wspomnienie.

JAN KASPROWICZ

Zapomniany ten utwór Kasprowicza, nie zamieszczony w zbiorowem wydaniu dzieł poety, drukował się w r. 1906 w jednodniówce „Myśl i Słowo" wydanej staraniem koła Tow. Szkoły Ludowej w Śniatynie. Pod wierszem na str. 11 figuruje dopisek: Z albumu dr. Karola Liszniewskiego. Forma wiersza i jego treść zdają się świadczyć, że powstał on między r. 1903 — 1906 — (J. B.)

NA WIDOWNI

Chmury i słońce. — Jubileusze twórców. — Łukasiewicz i Bogusławski. — Poezja i nafta. — Naiwność i tragiczność. — Na czem polega rafinowanie. — Tworzę więc jestem.

OBSERWUJĄC z tego miejsca chmury, wałęsające się nad krajem, i światłość życia, która się z niemi boryka, miewam wrażenie, że jestem aparatem, wystawionym gdzieś na stacji meteorologicznej, abym notował stany insolacji i zachmurzenia. Odniósłbym to porównanie do całej prasy, gdyby nie odłam jej sanacyjny, w którego wykresach zawsze tylko — słońce i pogoda.

Życie polskie łaknie słońca i jak słonecznik szuka go oczyma. Czujemy instynktem, nie zawsze jasno rozumiejąc motywy, że siła odrodzeń tkwi w życiu twórczem ducha. Ten nieoficjalny, intymny sternik i dawca życia ma w dziejach naszych swe daty i przedstawicieli, a temi datami i nazwiskami znaczony jest na drodze przebytej postęp. Widocznie życie głębokie trwa w narodzie pomimo wszystko, ustawicznie bowiem oglądamy się za siebie, ile też drogi przebyliśmy. Szczególnie widne są nam słupy przydrożne poezji, jak Wyspiański, które się palą niegasnącym ogniem. Ale znamienny jest też dla obecnych czasów jubileusz pośmiertny takiego Ignacego Łukasiewicza z Krosna.

Umarł 50 lat temu, a od daty kiedy skonstruował pierwszą lampę naftową, minęło już lat bez mała 80. Ojcowie i dziadowie żyjących teraz pokoleń wzięli od niego, jako rzecz sobie należną, dzieło jego twórczości. W hierarchji dzieł najwyżej stawialiśmy w czasach obumierania dary idealne twórczości narodowej; obecnie o swój byt uspokojeni zaczynamy rozumieć, że jednak na wszystkich polach pracy potrzebni byli i są Prometeusze.

Bo czyż to nie Prometeusz polski ten Łukasiewicz, który do ciemnych jak chlewy izb, oświetlanych łuczywem, wniósł światło? Wyrwał ogień ziemi, wydarł go z paszczy smoka ogniem ziejącego. Czy zrodziłaby się legenda o smoku w podziemiach górskich, gdyby nie odwieczne zjawiska ognia z gazów oleju skalnego? Łukasiewicz ujarzmił *inferna* i zaprzągł w regularną służbę człowiekowi. Cały świat z wynalazku jego skorzystał, może najmniej Polacy, bo — ile wiem — patent dostał się Ameryce i stamtąd lampy kupowaliśmy.

Pamiętamy z dzieciństwa, jaki to był obrządek czyszczenie lampy z płaskim knotem, gdy zmrok groził, że wszystko zamrze w ciemnościach. Najmądrzejszy, świadomy sekretu gospodarz domu sposobił lampę, przycinając knot i palcem równając, a przedmuchując wentyle. A ileż pieczy wymagało szkiełko, które, jak komin fabryczny, służyło do wyciągu powietrza i jarzenia.

Przeminęła ta lampa po miastach, mamy elektryczność, a jednak któż nie wspomni lampy wdzięcznem sercem? Ileż dziś zwłaszcza dałby chłop nasz, gdyby go stać było na naftę i zapałki! Dzieje kultury wloką się długo w kraju, gdzie tyle nierówności. Gdy tu brak nafty i człowiek jak ćma darmo szuka ognia, tłukąc głową o ścianę, w tem samem społeczeństwie z nafty — benzyna, a przy jej pomocy zbiera trjumfy Żwirko i Karpiński, do samego niemal słońca wzbija się wnuk Łukasiewicza dzięki jego nafcie.

A w dziedzinie wytworów z ducha i dla ducha, bez którego trudniej jeszcze żyć po pańsku, niż bez nafty — jakież wielkie postępy!

Byłem w tych dniach na otwarciu nowego w Warszawie teatru. Zespół artystów przy pomocy jakichś protektorów czy finansistów założył teatr w gmachu dawnej panoramy na ulicy Karowej. Wystawiono wodewil, dawniej operą zwany „Cud mniemany — czyli Krakowiacy i Górale" Wojciecha Bogusławskiego. Pierwszy raz wystawiono tę sztukę w Warszawie w r. 1794. Uprzytomnijmy sobie tę datę przerażającą; niech naszej wyobraźni pomoże powieść Reymonta.

Utwór ten, właściwie cudza kukła, po krakowsku i góralsku przebrana i na użytek miejsca i czasu przefasonowana, robił wstrząsające wówczas wrażenie. Cud mniemany zdarzył się tam również z racji jakiejś groty, w której smok ziejący ogniem. Cała ta rzecz jest prymitywna, jak olej skalny. Ale jakże doniosły był wynalazek Bogusławskiego! Dzieje teatru polskiego biorą tu początek: zrazu gaz świetlny przypadkiem zapalony, potem kopcąca lampka w coraz śmielszych przeróbkach... A gdy weźmiemy akord od tego Cudu do „Wesela“ Wyspiańskiego, gdzie też cuda się dzieją, też po krakowsku odziani ludzie wsiowi tańczą ze swoimi organistami, ekonomami i profetami, to zdziwieni patrzeć będziemy w klawjaturę dziejów, co się stało w tym czasie, że tak bardzo odmienny charakter sztuki obecnej.

Stało się tu niemal to samo, co w technice z surowcem, z ziemi dobywanym. Znalazł się Łukasiewicz, który ropę surową przedestylował. Myśl twórcza Bogusławskiego była takim surowcem i wiele przebyła potem procesów rafinacyjnych, aż stała się rafinowaną sztuką poetycką.

Sztuka zawsze ma związek z życiem, bo jest tego życia cząstką. Surowa jest wtedy, gdy nie ma swych własnych dróg i jest uważana za służebnicę do celów, wymagających działania praktycznego, za instrument bezpośredniego użytku życiowego. „Krakowiacy i górale“ w swoim czasie spełniały takie przeznaczenie, jak wiecowe zgromadzenia, przeznaczone były przedewszystkiem na konsumcję polityczną. Długo jeszcze potem Polacy nie gatunkowali życia i poezji. Nie zawsze, jak wiemy, dobrze wychodziła na tem i polityka i poezja. Wiele winy za stan rzeczy zwalono potem na poezję, choć ona nie była winna, lecz społeczeństwo, mające mało kultury duchowej. Wyspiański w „Wyzwoleniu“ ukazał nam dramat tego pierwotnego stanu ducha. Wyzwolił nie sztukę od życia, bo dobywał ją z natchnień ducha narodowego, lecz życie powszednie z jej czarów wymotał, aby szukało dla siebie instrumentów odpowiednią metodą, a sztuce dało samoistność.

Tutaj też dodam o przedstawieniu „Cudu mniemanego“ (aby nie robić osobnej rubryki), że reżyserja niepotrzebnie stylizowała widowisko na szopkę, zalecając śpiewakom naśladowanie lalek. Teatr dzisiejszy chciał przez to nadać sobie rolę ironisty historycznego, zadokumentować swoją świadomość artystyczną wobec sztuki naiwnej. Jest bowiem w tej ironji pierwiastek szyderstwa. Takby elektryczność szydziła z łuczywa. Lepiej byłoby chyba liczyć na oddźwięk naiwności u widzów. Nikt się nie zarzeka naiwności, owszem każdy jest rad na chwilę być naiwnym. Może skuteczniej byłoby poprzedzić rzecz informacją historyczną lub podać ją

na programach. Sztuka Bogusławskiego bowiem jest dokumentem dziejów politycznych przedewszystkiem. A że czasy były naiwne, to jeszcze zwiększa ich tragiczność.[1]) Tych Krakowiaków, którym Bogusławski kazał się zbroić w kosy do powstania Kościuszkowskiego, którzy weszli z kosami w progi wieku XIX, widzimy o świtaniu wieku XX na weselu, jak ich rozbraja chochoł:

Nic nie słyszą, nic nie słyszą
Ino granie, ino granie,
Jakieś ich chyciło spanie...

Niema takiej doby w dziejach naszych, w którejby świadkowi — jak tu Jaśkowi — nie „zaparła tchu rozpacz, przestrach i groza". Zmieniają się dekoracje, pozostaje tragiczność, a tem większe jej poczucie, im mniejsza naiwność po obu stronach — i w życiu i w sztuce.

Nowoczesność zwalczyła naiwne traktowanie rzeczy, że czegoś dokonać można symbolami w życiu. Dziedziną symbolów stała się sztuka, przeniesiona swojem ciążeniem ze świata zewnętrznego we wnętrze człowieka. Etapy tego postępu znaczone są datami i nazwiskami twórców. Zwiększona świadomość ich zasług każe nam coraz częściej oglądać się za siebie i wprowadza do umysłowości pierwiastek historycyzmu, wzmacniacający poczucie narodowe.

W prostym zaś stosunku do umiejętności patrzenia historycznego poza siebie jest zdolność patrzenia w przyszłość. Stąd czujność na to, co się dzieje i coraz wzmagający się krytycyzm.

Postęp w kulturze polega na coraz dokładniejszem rafinowaniu metod, poglądów i uczuć. Uwrażliwia się w człowieku zmysł wewnętrzny, wyczuwający obcość żywiołów nie zestrojonych z duchem narodu i złowrogość, gdy biorą się do steru życia. Cóżby z tem życiem było, gdyby nie dobroczynna twórczość genjuszu narodowego?

„Tworzę, więc jestem" — takie kryterjum samowiedzy polskiej ustala się już od szeregu pokoleń.

ZYGMUNT WASILEWSKI

[1]) Jest to raczej moja wątpliwość, niż zarzut. Naogół pomysł sam wyboru sztuki inauguracyjnej i sposób, w jaki ją wystawiono w teatrze artystów zasługują ze wszech miar na uznanie i poklask. Doskonale dopasowany do całości jest prolog Z. Nowakowskiego i zgrabnie są przypięte łatki aktualności. Gra artystów bardzo staranna, kostjumy i dekoracje nader piękne.

GŁOSY

CZEM JEST OBÓZ WIELKIEJ POLSKI? Upływa właśnie sześć lat odkąd weszła w życie ta organizacja. Ze względu na zainteresowanie, jakie budzi w obecnej chwili, przytaczamy deklarację ideową OWP., odczytaną na zjeździe w Poznaniu w dn. 4 grudnia 1926 r. Oto jej tekst:

„1. O. W. P. jest organizacją świadomych sił narodu, mających za zadanie uczynić go zdolnym do silnego ujęcia w swe ręce spraw swoich, sprawić, ażeby stał się on w pełnem tego słowa znaczeniu panem swoich losów.

2. Celem naszego narodu, w pojęciu O. W. P., jest, stać się narodem wielkim, zarówno w życiu wewnętrznem państwa, jak w stosunkach międzynarodowych. Wielkim jest naród, który wysoko nosi sztandar swej wiary, swej cywilizacji i swej państwowości. Działalność Obozu zmierza do tego, ażeby Polacy sami czcili i nakazywali innym cześć dla swej wiary, dla cywilizacji polskiej i dla państwa polskiego.

3. Wiara narodu polskiego, religja rzymskokatolicka, musi zajmować stanowisko religji panującej, ściśle związanej z państwem i jego życiem, oraz stanowić podstawę wychowania młodych pokoleń. Przy zapewnionej ustawami państwowemi wolności sumienia—zorganizowany naród nie może tolerować, ażeby jego wiara była przedmiotem ataków lub doznała obrazy z czyjejkolwiek strony, ażeby religją frymarczono dla jakichkolwiek celów lub prowadzono zorganizowaną akcję w celu rozkładu życia religijnego narodu.

4. Cywilizacja polska, jeżeli ma być cywilizacją wielkiego narodu, musi się wyrażać:

a) w przywiązaniu i czci dla przeszłości, dla tradycji polskiej, w noszeniu z godnością imienia Polaka;

b) w głębokiem poczuciu obowiązku względem Ojczyzny i odpowiedzialności każdego obywatela za swe czyny na zajmowanem stanowisku w życiu narodu;

c) w poczuciu hierarchji, przy organizacji zarówno pracy, jak walki, i w surowej karności, bez hierarchji bowiem i karności naród jest bezwładnem ciałem, niezdolnem do jakiegokolwiek działania;

d) w wysokim poziomie obyczajów i dyscyplinie obyczajowej, nakazującej wszystkim szanować poczucie moralne narodu;

e) w organizacji surowej opinji publicznej, swym naciskiem niedopuszczającej do czynów, przynoszących narodowi szkodę polityczną, moralną lub materjalną;

f) w bogatej i posiadającej wysoki poziom twórczości duchowej we wszystkich dziedzinach;

g) w wielkiej wytwórczości materjalnej, w wytężonej i sprawnie zorganizowanej pracy, zapewniającej narodowi środki do życia, a państwu potęgę, wreszcie

h) w męstwie obywateli, w odważnej ich walce przeciw wszystkiemu, co naród rozkłada, osłabia lub poniża.

5. Państwo wielkiego narodu musi być tak zorganizowane, ażeby było zdolne:

a) zapewnić sobie szacunek i uznanie swych praw u obcych, zabezpieczyć siebie i swych obywateli od upokorzenia i wyzysku gospodarczego;

b) zapewnić wszystkim obywatelom sprawiedliwość, zabezpieczyć ich od krzywd z czyjejkolwiek strony, zapewnić im bezpieczeństwo życia i mienia, spokój i wolność pracy, wreszcie obronić ich, a zwłaszcza młode pokolenia od zgorszenia;

c) przestrzegać surowo prawa, na którem istnienie jego i życie społeczeństwa się opiera — i zmuszać wszystkich do poszanowania praw, żadnego bezprawia nie pozostawiać bezkarnem;

d) nakazywać szacunek dla siebie i swych instytucyj wszystkim, poczynając od rządu i jego organów, które muszą spełniać należycie swe obowiązki i ściśle dotrzymywać przyjętych zobowiązań; wreszcie

e) musi być gotowem do natychmiastowego tłumienia wszelkich objawów anarchji i do wystąpienia każdej chwili nazewnątrz w obronie swych nteresów i swej godności.

6. Na powyższych zasadach opiera się program Obozu Wielkiej Polski, który w poszczegól-

nych działach będzie rozwijany w publikacjach i instrukcjach organizacyjnych.“

Pierwszą z zapowiedzianych publikacyj w szeregu wskazań programowych OWP. była broszura Romana Dmowskiego p. t. „Zagadnienie rządu“, wydana 1927 r. Drugą była broszura R. Rybarskiego „Polityka i gospodarstwo“ (1927). Potem: J. Zdziechowskiego „Polityka finansowa“, B. Wasiutyńskiego „Praworządność“, R. Dmowskiego „Kościół, naród i państwo“, Z. Berezowskiego „Polityka zagraniczna“...

Cały program współpracy narodu z państwem.

NA POSTERUNKU WILEŃSKIM. W ubiegłą niedzielę 23 października w łonie Stronnictwa Narodowego w Wilnie zaznaczono obchodem ten doniosły dla Wilna fakt historyczny, że 25 lat temu zaczął tam wychodzić „Dziennik Wileński“, który do chwili obecnej najpoczytniejszym jest Wileńszczyzny organem. Obok Józefa Hłaski, który był pierwszym redaktorem „Dziennika“ i pracował w nim do wojny, trwał od początku na tym posterunku, dźwigając brzemię odpowiedzialności za wydawnictwo, od 17 lat w roli redaktora i wydawcy, poseł na Sejm, zasłużony działacz społeczny — Aleksander Zwierzyński.

„Dziennik Wileński“ pod ich kierownictwem spełnił swoją rolę należycie. Dowodem choćby sprawa wileńska po wojnie. Że ludność Wileńszczyzny tak żywiołowo wypowiedziała się za ścisłem zjednoczeniem tej prowincji z Polską, to zasługa wychowawcza „Dziennika“.

Niestety, Józef Hłasko, złożony chorobą, w tej pięknej uroczystości nie brał udziału. Przed kilku laty cały kraj składał hołd Józefowi Hłasce z powodu 40-lecia jego pracy. W Wilnie składano owacyjnie wyrazy uznania Al. Zwierzyńskiemu. O nim też parę słów informacji należy się szerszemu ogółowi.

W pracy publicznej Zwierzyński był zahartowany, gdy stanął na terenie wileńskim. Już na uniwersytecie warszawskim, gdzie studjował na wydziale prawniczym, wciągnął się w szeregi pracowników tajnego Towarzystwa Oświaty Narodowej. Pracował tu bardzo intensywnie jako instruktor oświatowy i organizator tajnego nauczania. Zwierzyński pracował na bardzo różnych terenach, na Kujawach, Podlasiu, w ziemi lubelskiej i radomskiej, w Zagłębiu Dąbrowskiem. Wszędzie, gdzie tylko było trzeba, Zwierzyński nie bacząc na trud i niebezpieczeństwo, wkładał całą swoją energję i twórczy wysiłek.

Gdy nastały warunki, umożliwiające w Wilnie i krajach zabranych powstanie i utrzymywanie prasy polskiej, Zwierzyński stanął do szeregu pracowników „Dziennika Wileńskiego“ jako sekretarz redakcji. Odtąd cały swój żywot związał z Wilnem, trwając w niem ciągle i nie opuszczając go nigdy, z wyjątkiem krótkiego tylko okresu najazdu bolszewickiego. W okresie okupacji niemieckiej rozwinął wielką energję, gruntując polskość i poświęcając się pracy oświatowej i politycznej. Sprawował urząd sekretarza Komitetu Edukacyjnego, przyczyniając się wydatnie do fundowania szkolnictwa polskiego dla łaknącej polskiej nauki ludności. Działalność polityczną rozwijał jako członek Komitetu Polskiego i Rady Narodowej ziemi wileńskiej, broniąc tezy, że Ziemia Wileńska musi być integralnie związana z Koroną.

Sprawie tej poświęcił największy wysiłek przy wyborach do Sejmu wileńskiego w r. 1922 za czasów t. zw. Litwy Środkowej. Wybrany posłem na Sejm wileński, został powołany na stanowisko najważniejsze w tym sejmie: przewodniczącego komisji politycznej Sejmu, który obrady swoje zakończył głośną swego czasu rezolucją, żądającą wcielenia ziemi wileńskiej w granice Rzeczypospolitej.

Powołano go w skład delegacji Sejmu wileńskiego, która przeprowadziła rokowania z rządem warszawskim. Musiał tutaj przejść przez ciężką walkę z prądami federacyjnemi i walkę tę wygrał. Symbolem tego zespolenia było wejście delegacji Sejmu wileńskiego ze sztandarem tego Sejmu na posiedzenie Sejmu Rzeczypospolitej w marcu 1922 roku. Sejm Rzplitej, aprobując zjednoczenie Wileńszczyzny z Rzeczpospolitą, powołał członków delegacji na posłów Sejmu Rzeczypospolitej.

Mandat sejmowy Zwierzyński piastował krótko, zrzekając się go na rzecz włościanina Dubickiego. Rychło jednak, przy normalnych wyborach, przeprowadzonych w listopadzie 1922 r., m. Wilno powołało go na posła drugiego Sejmu Rzplitej. Zwierzyński wszedł w skład prezydjum Sejmu, piastując godność wicemarszałka. Od tego czasu stale już zasiada na ławach poselskich.

W parlamencie cieszy się wysokim szacunkiem i wielką powagą we wszystkich klubach. Zawdzięcza to zaletom swego charakteru i wysokiej kulturze obywatelskiej, politycznej i towarzyskiej. W pracach parlamentarnych brał bardzo czynny udział, pracując w komisjach administracyjnej, konstytucyjnej, regulaminowej i zagranicznej.

Pozostał wierny zawsze ideałom młodości, stał i stoi w pierwszych szeregach obozu i Stronnictwa Narodowego. Nie ugiął się nigdy, ani nie złamał się w chwili ciężkiej próby, na jaką był narażony w maju 1926 r., kiedy wespół ze Stanisławem Kodziem i Piotrem Kownackim był aresztowany.

ZE ŚWIATA

OPINJA ANGIELSKA WOBEC HASŁA REWIZJI GRANIC

HASŁO „pokojowej rewizji granic“? Jakże absurd może być „hasłem“ w polityce międzynarodowej? Niema środków, które mogłyby zmusić Polskę do oddania Niemcom ziem zachodnich. Jednakże w pewnym sensie polityka międzynarodowa wchodzi właśnie w okres owego absurdu. Wiadomo było, że po uwolnieniu Nadrenji od okupacji, po zniesieniu odszkodowań, po ogłoszeniu swego prawa do równości zbrojeń, Niemcy podniosą sprawę „rewizji granic“, i że żądanie to znajdzie wielu orędowników poza Niemcami. Tak właśnie się dzieje. W Lidze Narodów niema maszynerji, któraby wbrew Polsce mogła choć na papierze przeforsować tę sprawę.

Właściwa akcja odbywa się dziś za pośrednictwem prasy i innych organów kształtowania opinji. Głosy za rewizją klauzul terytorjalnych traktatu wersalskiego odzywają się poza Niemcami coraz częściej i z nowym akcentem. Nie zwiększa oczywiście szans powodzenia tej roboty okoliczność, że propaguje się absurd. I propaganda absurdów jed-

nak może mieć swoje, aczkolwiek nikłe, znaczenie w polityce. Przykładowo przyjrzyjmy się próbce tej roboty.

Rzecz to jasna, że chodzi przedewszystkiem o Anglję. Oczywiście propaganda niemiecka stara się oddziałać także na Włochy, na Amerykę, nawet na Francję; ale to wszystko są wysiłki mniej ważne, lub nawet prawie bez znaczenia. We Włoszech prasa znajduje się pod inspiracją rządu; niema zaś mowy, aby wpływy obce w jakiejkolwiek poważniejszej mierze oddziałać mogły przez prasę na rząd. Tam kierunek i metoda starań muszą być zupełnie inne. Ameryka, będąca terenem ścierania się różnych wpływów, w każdym razie usiłuje stać od spraw europejskich jaknajdalej. Próby zniechęcenia Francji do sojusznika polskiego muszą być bezskuteczne, jeśli nie przykłada do tego ręki zbyt gorliwie i sam sojusznik polski.

Anglja natomiast jest klasycznym krajem wolnego i w rzeczywistości wcale skutecznego oddziaływania opinji kraju na kierownictwo spraw publicznych. Jest to zarazem kraj, gdzie nie brak bezinteresownych, gorących sympatyj dla Niemiec; kraj, którego głos dotąd waży wiele we wszystkich sprawach polityki europejskiej.

Można wprawdzie zapytać: czy wiele nas obchodzi opinja angielska, jej przychylność, czy nieprzychylność? Opinja ta, nieoswojona z ideą wielkiej i silnej Polski, kierowana przez ludzi, co w młodości przywykli do map Europy, na których Polski nie było, niezupełnie przemogła, w starszem zwłaszcza pokoleniu, wrażenie lekkiego szoku, że gdzieś tam na wschodzie Europy sprawiedliwości dziejowej mogło stać się, w poważniejszej mierze — zadość. Nie okazała nam się przyjacielem. Dziś silniejsze od niej i od polityki angielskiej siły historji umacniają (przy miernem współdziałaniu nas samych) — stanowisko Polski w Europie. Z kryzysu gospodarczego, a już dziś w niemałej mierze także politycznego, jaki przeżywa Anglja, nikt wyjścia wskazać nie umie.

Z natury rzeczy w miarę postępu przesilenia słabnąć musi także i rozmach światowej polityki angielskiej, a ze skurczeniem się wpływów politycznych coraz mniej będzie mogła także i tak potężna jeszcze w dobie konferencji pokojowej opinja angielska. Ruina Manchesteru — to również katastrofa „szkoły manchesterskiej", to także i upadek „*Manchester Guardian*"... Z tem wszystkiem, obserwacja zmian w opinji angielskiej ma swój sens i interes. Opinja ta zachowała stary nałóg interesowania się sprawami całego świata, jakby wciąż jeszcze była arbitrem, nawet gdy nie stać jej już właściwie na ten luksus; a inne narody przyzwyczaiły się słuchać i pilnie zważać na to, co myśli i mówi Anglja. W szczególności przyzwyczaiły się cenić prasę angielską. Mussolini nierzadko występuje z artykułem na szpaltach „*Evening Standard*" czy „*Sunday Times*"; Niemcy, (przy współdziałaniu legjonu żywiołowych przyjaciół, o których wyżej wspomnieliśmy) niezmiernie dbają o zapewnienie poparcia prasy angielskiej dla swej polityki i swoich aspiracyj.

Z tych, i innych, względów opinja angielska ma jeszcze, nadmierny może, wpływ na kształtowanie się spraw polityki europejskiej wogóle.

Jak wygląda teraz kampanja rewizyjna w Anglji, sprawdzić możemy np. w piśmie „*Observer*". Poczytna ta gazeta niedzielna, redagowane przez J. L. Garvina, fanatyka, nadewszystko lubiącego namaszczony ton, ale słusznie cieszącego się sławą jednego z najzdolniejszych i najbardziej rutynowanych publicystów, od zawarcia traktatu pokojowego zawsze miała łamy otwarte dla argumentów przeciwpolskich. Teraz (9.X) piórem redaktora bez zastrzeżeń szermuje za sprawą „rewizji". Jakże to robi?

„Rewizja — to klucz do całego zagadnienia... Klucza innego niema. Choćby Francja jutro miała się rozbroić całkiem po myśli ogromnego sąsiada, Niemcy dalej nastawałyby na rewizję granic wschodnich, głupio i brutalnie podyktowanych przez zwycięzców. W tym wypadku albo trzebaby spełnić żądanie niemieckie, albo, bez względu na wszystko, wojna wybuchnęłaby nanowo... Traktat wersalski był jednym z najgorszych w historji dyplomatycznej. Jego szaleńcze klauzule finansowe — wreszcie prawie w całości skreślono, zebrawszy wpierw plon katastrof. Niemniej ważną sprawą będzie naprawa błędnych rozstrzygnięć terytorjalnych, którą uskutecznić trzeba będzie już w ciągu najbliższych lat kilku, inaczej napewno dojdzie do wybuchu. Z tem podstawowem dla pokoju zagadnieniem nie próbowano dotąd się uporać. Politycy wciąż się go boją. Liga nie śmie się go dotknąć. Trzeba będzie zdobyć się na tę odwagę i zabrać się do rzeczy... Jeśli zaś w ciągu roku czy dwuch nie dojdzie do łącznego traktowania sprawy rozbrojenia i rewizji granic, — jeśli nowa wojna francusko - niemiecka stanie się nieuchronną koniecznością — w takie razie Wielka Brytanja za wszelką cenę musi nie dać się w to uwikłać... Dla nas to nieskończenie ważne, abyśmy, w razie gdyby angielskie próby pośrednictwa w ostatecznym wyniku zawiodły, nie dali wciągnąć się w wojnę przez pośrednie choćby związanie się z jedną czy drugą stroną...."

Charakterystyczny dla nastrojów opinji angielskiej jest postulat, żeby w przyszłej wojnie Anglja bezwarunkowo zachowała neutralność. O wiele mniej charakterystyczne jest samo gwałtowne żądanie rewizji granic. To przemawia głos fanatycznej mniejszości. Zgóry zresztą przewiduje niepowodzenie angielskich prób „pośrednictwa", nawet najgorliwiej podjętych. Kampanja rewizyjna, ustalić to łatwo, granicom naszym zaszkodzić nie jest w stanie. Zepsuć nasze położenie może o tyle tylko, o ile wogóle wroga propaganda może je zepsuć. Bez naszej pomocy przechodzi to jej siły. W ostatnich latach zrobiliśmy jednak wiele, aby przesunięcia opinji, i zmiany w poglądach sfer kierowniczych, zwłaszcza we Francji, dokonywały się na naszą niekorzyć.

Jeszcze raz na tej sprawie uwydatnia się ścisły związek między polityką zewnętrzną, a wewnętrzną. Nie wystarczy pewien nakład pieniędzy i dowcipu na kontr-akcję propagandową z naszej strony. Dotąd brakowało i jednego i drugiego, a zwłaszcza drugiego. Najlepszym dowcipem naszej oficjalnej propagandy w krajach zachodnich było wyręczanie się żydami przy każdej sposobności. Nie tylko ta jedna słaba strona sprawiła, że efekt i wpływ polskiej propagandy, zwłaszcza w krajach anglosaskich, był dotąd tak nikły, i tak niestosunkowy nawet do skromnych dosyć sum, na ten cel wyłożonych. Nie tu miejsce o tem mówić. Chodzi o coś bez porównania ważniejszego.

W nadchodzącej dobie, gdy nieprzyjazna propaganda zrobi *maximum* wysiłku, aby zachwiać systemem sojuszów, stabilizującym układ rzeczy w Europie, ważną jest rzeczą, abyśmy niepotrzebnie nie zrywali nici, łączących nas z Zachodem, w szczególności, ma się rozumieć, z Francją. Coraz bardziej bezsensowne wydawać się musi, żeśmy przybrali pozór społeczności nie należącej do świata cywilizacji zachodniej; i coraz większy interes widzieć musimy w tem, żeby przedstawić obraz zespolenia,

a nie rozbicia. W pierwszym rzędzie chodzi oczywiście o siłę wnętrzną narodu, kruszoną dzisiaj sztucznie; ale i inne względy mają swoją wagę, m. in. ten, żeby przez nieudolność rozwinięcia pełnej siły narodu nie partolić niepotrzebnie własnych sojuszów.

Doba historyczna doniosłe daje wskazania polskiej polityce wewnętrznej.

C.

NAUKA I LITERATURA

OKOŁO WYCHOWANIA NARODOWEGO

W NIEWIELKIEJ tej książeczce, która pod szarą, skromną okładką zebrała głośne po Polsce trzy odczyty ostatnie prof. Ignacego Chrzanowskiego, jedno uderza szczególnie: mocny pion konstrukcyjny. Trudno go nazwać inaczej, jak słowem naród, powracającem tu na każdej karcie.

Wszelkie zręby myśli, wszystkie wiązania skupionej rozwagi, wszystkie łuki strzeliste uczucia zbiegają się tutaj u sklepienia, pod twardo ciosanym pułapem, pod wyrzezanym w desce, niczem w dworze staropolskim, napisem (a jest to werset Miczkiewicza): „Narodowość to największe dzieło boże na ziemi". Temi właśnie słowami, jak latarnią, rozjaśnimy drogę, którą autor prowadzi słuchacza i czytelnika.

Rozejrzawszy się w kompleksach myśli prof. Chrzanowskiego, przyznamy odrazu, że cała jego książeczka to jedynie glossa do Mickiewicza: do tej jego wiary w naród, wyrażonej żarliwie.

Glossa przedewszystkiem pedagogiczna. I to jest odczyt pierwszy, z roku 1930, wypowiedziany przed nauczycielstwem szkół powszechnych w Krakowie, ze swoją konkluzją końcową, należycie i obszernie utwierdzoną: że „Polski ideał wychowawczy", to system pedagogji, pełnej po brzegi treści narodowych i chrześcijańskich.

Glossa dalej filozoficzna. I to jest odczyt zkolei drugi, rozważający formy i przebiegi literackie optymizmu i pesymizmu polskiego. Oceniwszy zagadnienie na grucie filozoficznym, szuka prof. Chrzanowski jego wyrazu w piśmiennictwie. Dobywa się przed nami w ten sposób oblicze literatury staropolskiej i nowożytnej, nieraz ponure i smutne, nierozjaśnione zdrową ufnością w naród. Optymizm nastrojowy, jaki się tu i owdzie pojawia, niepogłębiony w treści i przelotny, odnajduje nierzadko formę swą drugą: optymizmu, za którym stoi wiara „w czynniki zewnętrzne". I rzadko jedynie, przebiegając karty literatury, usłyszymy wśród nich taki „wspaniały okrzyk" narodowego optymizmu, jak ten, który rozległ się z — „Pieśni legjonów". To też kształtować dopiero trzeba, pomnażając religijno-moralne wartości narodu, krzepkie i zdrowe formy optymizmu, wywodzące się z mocnej i ugruntowanej wiary we własna siły.

Glossa wreszcie historyczna. Odczyt ostatni, „Dwie kultury", poświęca zrazu prof. Chrzanowski umiejscowienie w czasie i tradycjach naszej literatury politycznej niedawnego Listu Prymasa Polski. Wśród interesujących korelacyj myślowych ustala autor, że „zarówno List pasterski, jak literatura polska, to owoc jednej i tej samej kultury chrześcijańskiej, ale nie wschodniej, bizantyńskiej, tylko zachodniej, rzymskiej". Stwierdzenie to zagaja paralele ogólne. Przeciwieństwa dwóch kultur, zaznaczone wyraźnie już przez Mickiewicza, równie zasadnicze, jak wolność i niewola, prowadzą autora znowu do zagadnień pedagogicznych: „w hasłach tej jedynej, prawdziwej (zachodniej) kultury... wychowujmy nasze młode pokolenia!"

[1]) Ign. Chrzanowski. Około wychowania narodowego. Trzy odczyty. Warszawa, 1932, str. 72.

Odczyty owe, zwarte i przejrzyste w konstrukcji, mocne w treści i swym wyrazie djalektycznyn, tworzą cykl pojęć konsekwentnych i zorganizowanych. Przenika je wszystkie świadoma i zatroskana myśl wychowawcza. U podstaw rozważań tej książeczki legła wielka sprawa: pedagogji narodowej, wydźwignięta na płaszczyzny ogólne i umieszczona we właściwej perspektywie historycznej.

Oczywiście, próżno w paru słowach przygodnych streszczać to, co jest samo streszczeniem. Publikacja prof. Chrzanowskiego jest streszczeniem podwójnym. Przynosi z jednej strony krótkie i dokładnie przemyślane sformułowanie problemu wielkiej doniosłości powszechnej. Nadto zaś w wyrazie znakomicie syntetycznym obejmuje wyniki myślowe długoletniej i skupionej pracy badawczej prof. Chrzanowskiego nad przeszłością kulturalną Polski, oraz streszcza z rozumną ekonomją słowa jego wiedzę o narodzie. Zawiera zatem owe prawdy żywe, jakie od czasu wykładu wstępnego z r. 1910 „O literaturze polskiej", przyjęły w studjach naukowych prof. Chrzanowskiego kształt jesrcze bardziej skończony.

Dlatego też broszura „Około wychowania narodowego" jest znacznie czemś więcej, aniżeli wypowiedzią na temat jednego z ważkich zagadnień bieżących.

T. M.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Koło Kielczan (Warszawa, Kapucyńska 3, prezes E. Zienkowski) ogłosiło prenumeratę na nowy rocznik „Pamiętnika Koła Kielczan" (1932 — 33), który wyjdzie tej zimy. Cena z przesyłką 6 zł. przekazami na P.K.O. Warszawa: Koło Kielczan nr. 12.310. Termin do 15 grudnia.

Wydawnictwo zasługuje na poparcie nie tylko ze względu na charakter społeczny Koła, które ma zadanie wiązać tradycjami wychowańców szkół kieleckich i opiekować się młodzieżą. Doskanale redagowane roczniki „Pamiętnika" są kopalnią cennych materjałów historycznych, literackich i pamiętnikarskich. Za 20 zł. przysłanych dodatkowo, można nabyć 5 tomów dotychczasowych wydawnictw Koła. Zwrócić należy na to uwagę wszystkich kolekcjonistów i bibljotek. Oczywiście wszyscy Kielczanie powinni ten zbiór posiadać.

*

Bibljoteka Medycka wypuściła w świat dwa tomiki poezyj Beaty Obertyńskiej: „Klonowe motyle" i „Głóg przydrożny" (Skład główny w Domu Książki Polskiej). Prześliczne te zbiorki utalentowanej i wysoce kulturalnej poetki, autorki powieści „Gitara i tamci", poezyj „Pszczoły w słoneczniku" i poematu „Bracia mroźni" znaleść się powinny w każdym domu. Obszerniejszą o tych książkach wiadomość damy niebawem.

*

Widmo Szeli i krwawej rzezi galicyjskiej w r. 1846 pojawia się od lat kilku raz po raz w literaturze naszej. Po „Turoniu" Żeromskiego, po powieści St. Szpotańskiego „Bez ziemi i bez słońca" (księg. św. Wojciecha) ukazuje się teraz z kolei dramat Antoniego Waśkowskiego p. t. „Szela" (Miejsce Piastowe 1931). O ile Żeromski i Szpotański uwydatniali w charaterze herszta rzezi nietylko patologiczne cechy typowego kryminalisty, ale i pewne rysy groteskowe, to Waśkowski utrzymał swą tragedję w stylu całkowicie koturnowym i, nie odstępując bynajmniej od szczegółów, przekazanych przez historję, dał zgoła odrębną koncepcję postaci Szeli.

Jak wiadomo, był Szela pospolitym bandytą, odsiadującym więzienie, z którego uwolniły go skwapliwie władze austrjackie, by użyć go za narzędzie swej polityki przeciw Polakom, utrzymującym konspiracyjny kontakt z emigracją i pragnącym uobywatelić nieuświadomiony dotąd narodowo lud polski.

W szatańskiem tem dziele, jak świadczą zgodnie wszyscy historycy, najhaniebniejszą rolę odegrali żydzi, arendarze i karczmarze wiejscy, którzy — podobnie jak w innych powstaniach — szpiegowali ruch niepodległościowy i jego uczestników sprzedawali za judaszowe grosze władzom zaborczym. Takiego właśnie żyda-prowokatora przedstawił nam Waśkowski w swym dramacie, jako jedną z głównych osób akcji. Żyd ten przychodzi do dworu niby to „polskiej ino sprawie swat, chłopstwu i jaśnie panu rad", a w rzeczy samej po to, by wykraść papiery sztabu powstańczego a dziedzica ściągnąć do karczmy, gdzie Szela — z dokumentem cesarskim w ręce i odziany w mundur austrjackiego huzara — już podżega chłopów przeciw „ciarachowi".

Śmierć Leona, dziedzica, poniesiona w chwili, gdy ten przychodzi uwolnić chłopów od pańszczyzny, jest początkiem rzezi, rozpoczętej w imię — „miłościwego" austrjackiego cesarza. „Tę krew przysłonią cesarskie ordery!" — woła Szela, widząc się już zawczasu starostą, wojewodą, hetmanem w nagrodę za spełnienie katowskiego dzieła, za łajdackie znęcanie się nad garstką osób słabych i bezbronnych... W otumanionych chłopach budzi się sumienie, zwłaszcza w obliczu klęsk zarazy i głodu. Z pozdrowieniem „Pochwalony Bóg" przychodzi do Szeli chłopska gromada, wzywając go: „albo z chłopami ci krzyzowa dróga na klęckach... albo ze wsi precl" Kiedy zaś Szela odpowiada, że „nie zna sumienia ani Boga!" chłopi rzucają nań przekleństwo, a mszcząc się za swą hańbę, udrękę i poniewierkę, walą na jego głowę dach chałupy. Z pod zwalisk jednak dobywa się głos szatana, który — zażegnany na czas pewien — obiecuje „wrócić na inszy czas". Czy jednak pomimo tej zapowiedzi zostanie kiedyś ten zły duch kata Szeli, szatan — zwycięzcą? Niewiadomo; przyszłość okaże. *Fortuna mutabilis, Deus mirabilis...*

Dramat to chyba najlepszy, jaki wyszedł z pod pióra Waśkowskiego. Rzecz jest niewątpliwie sceniczna, a literacko wartościowa. W każdej scenie są momenty efektowne i pełne silnego napięcia. Scena mordu szlachty podkreślona jest pięknym kontrastem przez liryzm sceny poprzedniej, gdzie oślepły ojciec wspomina dawne swe boje powstańcze. Głęboki zakrój tragiczny tkwi w postaci obłąkanej Ewy, która ma w sobie jednocześnie rysy Ofelji i Kassandry, coś jakby Marja z „Warszawianki", ale rolą swą sięga dalej, bo staje się jakby Erynją — widmem sumienia i kary — dla winowajców. Wart osobnej uwagi jest język dramatu. Porzuciwszy częsty w dawniejszych dziełach nalot frazeologji romantycznej, posłużył się Waśkowski gwarą ludową krakowską, wystudjowaną doskonale (dwa razy tylko popełnił drobne omyłki w mazurzeniu). Pozwoliło mu to oddać w należytym wyrazie równie sumiennie wystudjowaną — psychologję polskiego chłopa. (J. B.).

ZE ŚWIATA SZTUKI

PAŹDZIERNIK w Zachęcie przyniósł wystawy: jubileuszową Jana Rosena, IX-tą zbiorową grupy „Zwornik", kolekcję Zofji Stankiewiczówny i Stanisława Grabowskiego. Jan Rosen należy do najstarszego i bardzo już nielicznego pokolenia naszych artystów (ur. się w roku 1854-tym, w Warszawie). Jako młody, lecz dojrzały już artysta, pracował w Monachjum, w otoczeniu Brandta, Kossaka i innych „koniarzy" i batalistów. Sam też miał pokrewne upodobania. Lecz właściwie, chociaż malował konia i żołnierza, „koniarzem", lub batalistą nazwać go trudno. Bo ani pasjonował Rosena specjalnie ruch zwierzęcia, ni jego fizjognomja, charakter. Taksamo człowiek-żołnierz. Interesował malarza przedewszystkiem mundur żołnierski. Objawiając niepoślednie znawstwo, studjował i uwieczniał ten strój z prawdziwem zamiłowaniem urodzonego kostjumologa. To też jego obrazy są przedewszystkiem ścisłym i drobiazgowym pokazem kostjumów. Czasem artysta podejmuje się zadania o charakterze wręcz ikonograficznym jak np. w pracy: „Mundury Wojsk Księstwa Warszawskiego". Również wybitne walory kostjumologiczne posiada cykl „Dzieje jednego ułana". Z obrazów o charakterze rodzajowym trzeba wymienić najlepszy: „Generała w podróży". Najswobodniej, mam wrażenie, wypowiada się Rosen w niewielkich rozmiarami obrazach, stosując w nich właściwą sobie technikę, staranną i drobiazgową, zbliżoną trochę do malarstwa minjatury.

Obecnie sędziwy, lecz krzepki jeszcze artysta, przebywa stale we Lwowie.

*

Grupa Zwornik składa się z młodych malarzy krakowskich: 3-ch pań i 13-tu panów. Wszyscy posiadają pewną wiedzę malarską i w obrazach swych dają temu świadectwo, popisując się samą umiejętnością i zamieniając w ten sposób środek na cel. Stawianie na pierwszy plan (w malarstwie) zagadnień kolorystycznych jest bardzo słuszne, ale nie powinno się odbywać ze szkodą dla pozostałych wartości dzieła sztuki. Ambicji szukania własnych ścieżek posiada „Zwornik" niewiele, zezując w stronę tego, co określamy zgrubsza mianem malarstwa paryskiego. Cała ta wystawa stoi na pewnym poziomie, lecz nie wyróżnia się niczem bardziej indywidualnem.

*

Pani Zofja Stankiewicz zgromadziła studja i szkice z Helu, malowane akwarelą. Można takie rzeczy robić, ale nie trzeba ich wystawiać, bo to są prace wykonane przy pomocy tego minimalnego zasobu wiedzy i techniki, jakie powinien posiadać każdy. Zestawienia kolorystyczne p. Stankiewicz nazbyt są już prymitywne.

*

Wisząca obok kolekcja prac Stanisława Grabowskiego składa się z temper i akwarel, notatek krajobrazów Francji (Arles, St. Tropez, Prowancja) i poczęści Anglji. Są to rzeczy śmiałe i szerokie w plamie, a przytem bardzo subtelne w kolorze. Kontur kształtu częściowo podrysowany jest piórem. Zarówno sposób kładzenia plamy barwnej jak i nerwowa linijka piórem, świadczą o smaku artystycznym malarza i obnażają przed nami jego duszę, chłonną i wrażliwą.

WIKTOR PODOSKI

FILM

COLOSSEUM: „Ziemia niczyja" reż. Wiktora Trawasa.

Scenarjusz tego filmu, jak głosi reklama, został wyróżniony przez Ligę Narodów. Dowiadujemy się w ten sposób o jeszcze jednej dziedzinie owocnej działalności Ligi, tembardziej ciekawej, że właśnie wadą wymienionego dzieła jest... brak scenarjusza. Brak—w znaczeniu fabuły i w znaczeniu sensu, jaki powinien wypływać z każdego zestawienia wartości wizualnych, poza sensem plastycznym i kompozycyjnym oczywiście. Jest to film t. zw. pacyfistyczny i mógłby stanowić znakomity przykład niewspółmierności, w dotychczasowych dziełach filmji, wartości myśli i obrazu. Doznawaliśmy już bowiem nieraz w kinie pierwszorzędnych emocyj wzrokowych i podziwu dla talentu reżysera, lecz jakże rzadko mamy sposobność podziwiać w nim człowieka myślącego. Nie chodzi mi naturalnie o wprowadzenie do kina filozofji, gdy jednak chcecie panowie zapomocą pięknej treści wizualnej propagować pewną ideę, to róbcie to mądrzej. Tak i tutaj. Bohaterami filmu są przedstawiciele 5-ciu narodowości: Anglik, Francuz, Niemiec, Żyd i Murzyn. Ukazano nam życie każdego z nich w ojczyźnie (z wyjątkiem murzyna i Żyda): dom, pracę, środowisko. Wybucha wojna. Reżyser szeregiem zestawień pokazuje, jak na to zareagował każdy kraj. Mobilizacja, ćwiczenie rekruta. I znowu szereg zestawień: Anglja, Francja, Niemcy... Ta część, pierwsza połowa filmu, składa się z szeregu luźnych obrazów, nie związanych z sobą wspólnotą fabuły, lecz posiadających wartość artystyczną dużej miary. Czekamy jednak, co będzie dalej? Ciekawi jesteśmy tej „ziemi niczyjej". I cóż się okazuje? Ziemią niczyją ma być opuszczony okop, napoły rumowisko. Spotkali się w nim przypadkowo zabłąkani: Anglik, Francuz, Niemiec i t. d. Nie chciało się im bić: może byli zmęczeni, może uważali to za bezcelowe, dość, że siadają sobie—podczas otaczającej ich zewsząd kanonady—i zaczynają gwarzyć. Gadają powoli i nudno. Zresztą nie rozumieją się prawie. Murzyn im klaruje, że trzeba żyć w przyjaźni. Żyją więc w przyjaźni, bo jak tu wyjść — zaraz głowę urwie. I tak przesiedzieli. Czy całą wojnę, niewiadomo. Wkońcu wyszli z tej „ziemi niczyjej" i — jak to mówią Rosjanie — „razoszliś po domam".

Niech mi kto potrafi teraz wysnuć jakikolwiek wniosek z tej całej historji.

KANDYD

OFENSYWA

TO I OWO CZYLI HOCKI i KOCKI

MACCHIAVELLI: „W krajach gdzie ludność jest zdemoralizowana, monarcha bywa często czczony za swe wady, nie za swe przymioty".

* * *

Adolf Thiers, historyk i dziennikarz z czasów II-giego cesarstwa, antagonista Napoleona III, a po upadku cesarstwa jeden z pierwszych prezydentów Republiki, pisał w lipcu r. 1869 co następuje (w skróceniu):

„Pisma systemu (rządowego) oskarżają nieustannie opozycję i tę z lewej i tamtą z prawej strony o rozmyślne szerzenie złośliwych plotek pod adresem cesarza, ministrów, prefektów, generałów, posłów. Jest to zarzut, którego naiwność dorównywa tylko bezczelności. Gdy odebrano krajowi prawo kontroli, gdy kandydatury oficjalne zastąpiły swobodne prawo głosowania, gdy cenzura niedokształconych młodych chłopców pastwi się ze złośliwością zepsutych dzieci nad dziennikarstwem francuskiem... wtedy plotka musi trjumfować. Plotka to syn pierworodny tego systemu... Plotka jest dzisiaj władcą Francji. Daremnie ścigają ją prefektury policji, daremnie szaleje Cenzura... A tragedją Francji jest to, że Francuzi wierzą dziś każdej plotce... Nie prasa opozycyjna tworzy plotki, tworzą je kliki, intrygi, brak kontroli, brak prawdziwego przedstawicielstwa narodu... A Francja przeżywa wielki dramat dziejowy, bo wszyscy Francuzi są jak jedno morze zaciętej nienawiści"...

* * *

Clemenceau: „Wojna jest rzeczą zbyt poważną, by ją można pozostawić wyłącznie generałom".

* * *

Wiersz Antoniego Edwarda Odyńca ze zbiorku „Melitele" (1830) pod tytułem „Król Scytów":

„Czy to prawda, czy zmyślenie,
Nie wiem, i próżno nie badam,
I com słyszał opowiadam.
Raz król Scytów ogromną zdobywszy stolicę,
Kiedy rozległe przejeżdżał ulice
I razem z mnóstwem swej DZICZY,
Dziwił się swojej zdobyczy:
Ujrzał, świetnemi otoczon budowy
Jakiegoś króla posąg marmurowy,
A pod nim napis w czystem ryty złocie:
SŁAWIE I CNOCIE
Skutkiem jakiegoś szczęśliwego cudu,
Ta tkliwa wdzięczność, hołd całego ludu
Ta sława, której wieki nie umniejszą,
Wzruszyły jego dzikość najjaśniejszą.
Daje więc rozkaz, by się przed nim stawił
Pierwszy z mędrców tej krainy,
I by mu wszystkie opowiedział czyny,
Któremi król ten się wsławił.
Idzie więc mędrzec, a gdy przed nim stanie,
Tak się doń ozwie: Najjaśniejszy Panie!
Król ten, któregoś wielkich dzieł ciekawy,
Był podług dziejów i srogi i krwawy.
Szczególnie, jakieś MIEWAŁ PRZYWIDZENIA
Całkiem nie LUBIŁ ludzkiego plemienia.
NICZEM mu były i cnota i sława,
Niczem ludzkie, boskie PRAWA.
Wszystko ZDEPTAŁA jego złość bezbożna,
I tak DARŁ, Panie, jak tylko drzeć można!
„Stój! stój" zawołała nasz Scyta zdumiały,
„Jakże to zgodzić z tym pomnikiem Chwały?
Cóż ta sprzeczność znaczy?"
A mędrzec na to tak mu się tłumaczy:
„Przyczyna tego łatwa do odkrycia,
W dwóch ci ją słowach odsłonię:
POSĄG STAWIANO ZA ŻYCIA:
DZIEJE PISANO PO... ZGONIE!"

* * *

Z Listu Otwartego (p. St. Wąsowskiego do dyrektora gimnazjum w Siedlcach), zamieszczonego w urzędowej „Gazecie Polskiej":

„Jako dyrektor zakładu naukowego stykał się pan, panie dyrektorze, z wieloma ludźmi różnych sfer i różnych orjentacyj i słyszał pan niejedno. Od skarg, utyskiwań i żalów gorzkich pewnie nieraz zrobiło się panu gorzko. I ja słyszałem owe żale i utyskiwania, nietylko od innego obozu (to dzisiaj uważa się nawet za objaw naturalny), ale — co więcej — od swego. Czyż nie zwrócił pańskiej uwagi fakt, że wszystko to mówione jest zciszonym głosem, prawie do ucha? Bo ludzie — boją się powtarzać — boją się! — mówić głośno o tem, co ich boli. A czy pan kiedykolwiek spodziewał się, że w wolnej Polsce ludzie będą się bali mówić tego, co myślą — do przyjaciół, krewnych, znajomych? Bo każdy człowiek gdzieś od kogoś zależy, a zawsze od władzy bliższej lub dalszej"

* * *

„Robotnik" z 17 Października r. 1932.
Korespondencja własna:
„W dn. 16 b. m. odsłonięto w Konarzynach na Pomorzu pomnik marsz. Piłsudskiego. Prasa rządowa doniosła, że wdzięczna ludność Pomorza, wierna rządowi, ufundowała pomnik. Tymczasem pomnik został wzniesiony ze składek urzędników państwowych, straży granicznej, policji, nauczycielstwa, wojska i t. d. Na ten cel „dobrowolnie" przy wypłatach poborów zebrano około 700 zł. Resztę... ofiary w naturze. Pomnik ufundowali urzędnicy, bo społeczeństwo Pomorza nie okazywało w tym kierunku żadnych zainteresowań. W uroczystości wzięli udział: straż graniczna, wojsko, nauczyciele i trochę komisarycznych sołtysów i wójtów. Ludność nie wzięła udziału w uroczystości. Były szumne mowy. Pierwszy przemawiał baron Lerchenfeld i t. d.".

* * *

I. Ogiński (I. Matuszewski w „Głosie Prawdy" Nr. 62 r. 1926).

— „Poza całym jarmarkiem partyjnym — poza stronnictwami... istnieją w Polsce dwa obozy: mafja endecka i piłsudczycy... I między temi właśnie obozami odbywa się walka najistotniejsza — walka o duszę polską... Ale walka ta nie jest skończona... Podejmujemy ją i toczyć będziemy dalej — aż do końca. Nakazuje nam to nasz obowiązek".

— „Nie możemy być z wami ani zgody, ani ugody. I dlatego zniszczyć was musimy do cna, do ostatka, na śmierć. Gdyż dopóki żyje i porusza się mafja endecka — walka o niepodległość Polski nie jest jeszcze skończona".

* * *

Post Scriptum: Ot i powiedział, co wiedział, gołubczyk serdeńko! A tymczasem zamiast grozić i fukać i nadymać się i zęby sobie łamać, boki obijać i na guzy się narażać, nie lepiej by to było w dziejowości nieco powertować, książek historycznych co nieco poczytać, perypetje różnych pomników i obelisków poznać. *Historia vitae magistra. Deus mirabilis, fortuna variabilis. Tempora mutantur. Nec Hercules contra plures. Quem Juppiter perdere vult, demetat. Finis. Amen.*

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Sanator (do siebie):
Ach, gdyby jaki dowód! choćby podejrzenie,
Ślad dowodu, cień śladu, cieniów cienie!
Dziady III, Sc. 8, w. 330.

*

Wzór obrazowości stylu sanacyjnego „Dziennika Poznańskiego": „Rozwiązanie OWP na Pomorzu zdarło maskę obłudy z działalności tej organizacji. Władze postawiły kropkę nad i organizacji" (str. 245). Trudno z tego obrazka sobie wyobrazić, co po czem nastąpiło i gdzie ta kropka wypadła. Pan publicysta chciał powiedzieć pewno: „krzyżyk nad organizacją", ale to byłoby jego sferze niemiłe.

*

— Dlaczego „sanatorzy" domagają się, by członkowie Obozu Wielkiej Polski nie nosili swej odznaki organizacyjnej? Czemu „mieczyk" tak ich denerwuje?

— To bardzo proste. Szczerbiec Chrobrego przypomina im... wyprawę kijowską, o której chcieliby zapomnieć...

*

Politycy i publicyści sanacyjni podobni są do zabawki „jo-jo", bo mają w rowku sznureczek i tak się podrywają — do rączki, do rączki...

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel. 9 87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57 PRZESYŁKA POCZTOWA RYCZAŁTEM OPŁACONA